



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

KILKA WSPOMNIEŃ O SZOPENIE

Z MOJEJ MŁODOŚCI

przez

Wielisława.

Poszanowanie najdrobniejszych śladów po wielkich ludziach należy do rzędu szlachetnych serca ludzkiego popędów. Cóż dziwnego, że i wspomnienia o nich budzą powszechne zajęcie?

Niewielu już z nas żyje, co znali Szopena, jeszcze mniej jest takich, coby jego młodość pamiętali i byli na jego najpierwszych koncertach.

Co do mnie, bywały czasy, żem codziennie widywał Fryderyka Szopena, mieszkając z nim w jednym domu; nie znaczy to wszakże, abym go dobrze znał, bo, byłem dwanaście lat od niego młodszy i patrzyłem na niego z tą lekliwą niesmiałością, jaka dzieli dzieciaka rozpoczynającego nauki, od tego, który już w świat wchodzi.

Rodzina Szopenów składała się z sześciu osób. Młode pokolenie stanowiły trzy córki i syn jedynak, Fryderyk. Ojciec, pan Mikołaj, była to postać uroczysta poważna, z pewną wykwinnością w obejściu, cechującą człowieka dobrze wychowanego. Wbrew przyjętej dziś powszechnie tradycji, mówiono sobie wówczas, że pochodził on z Pikardyi; że był synem dzierżawcy dóbr księcia d'Enghien; wreszcie, że w epoce rewolucyi przybył do Polski. Tak czy owak, dość, że pan Mikołaj uczuwał do Napoleona nienawiść wszystkich emigrantów i nazywał go zbrojnym i mordercą.

Przybywszy do Polski, — głosiła wieść obiegająca o jego przeszłości, — przyjął obowiązki gubernera przy młodym hrabi Fryderyku Skarbku,

znanym ekonomistą, autorze i profesorze. Tam poznał swoją przyszłą żonę, ubogą szlachciankę, zarządzającą domem powinowatej swojej, pani hrabiny, a ożeniwszy się z nią przeniósł się do Warszawy, gdzie go powołano na nauczyciela języka francuzkiego, w Lyceum, którego rektorem był sławny Linde.¹⁾

Uczniowie w ogóle szanowali i lubili swego profesora, wysmiewając się pocichu z jego cudzoziemskiej akcentuacji zanaadto dobitnej, gdy mówił po polsku; jeszcze więcej z groźb jego i przypowiastek o „Madame różga“, i z przepowiedni, które przy znanej jego łagodności i wyrozumiałości nigdy się nie sprawdzały.

Pani Szopenowa, którą wszyscy bliżej ją znający miłowali i szanowali, była typem rzadnej, zabiegliwej a pracowitej polskiej gospodyni, co to bez chciwości i cudzej krzywdy umie z drobniaków kłaść fundamenta pod przyszłą, na starość zacnie uzbieraną fortunę. Szopenowie trzymali pensyą mężką; o pomieszczenie w niej dla synów swoich dobijali się ojcowie najpierwszych rodzin kraju, pomimo olbrzymiej, jak na owe czasy, opłaty, bo do czterech tysięcy złotych na rok od jednego ucznia wynoszącej. Mniej zamożnym folgowało niekiedy.

Przyczyną wziętości tej pensyi była niezmierna pieczołowitość i dbałość o zdrowie chłopców, dobre ich odżywianie, czystość i moralność, a prztem dobry kierunek i nadzór naukowy. Szczególniej ustaloną była opinia, że być u Szopena na pensyi, znaczyło to samo, co być wyżej cywilizowanym, czyli lepiej wychowanym od innych, człowiekiem, o co daleko więcej dbano niż o zyskanie specjalności jakiej, zdobycie medalu i t.p. Wyznawano wówczas to, może zacofane, zdanie, iż niczem są medale, jeśli ich nie nosi

człowiek, czyli istota prawdziwie godna noszenia na swej skroni wieńca godności ogólnoludzkiej.

Jeszcze wówczas powtarzano z zapalem słowa poety serca:

Kto tylko sobie budował,
Nic dla siebie nie zakłada;
Kto świat cały umiłował,
Ten i cały świat posiada.

Wszyscy, co wyszli z pensyi Szopenów, zapewne potwierdzą tę moją o niej opinią. Najżywszą wdzięczność dla pamięci obojga zachował do zgonu, znakomity ich uczeń i jedna z chwiał narodu, hr. Fryderyk Skarbek.

Nie ma chyba przykładu, aby z łotrowni, jaką przedstawia dom czy rodzina żyjąca bez religijnego charakteru, jakby przypadkiem skojarzona, wyrosła jaka istotna zasługa lub znakomitość. Wszyscy wielcy ludzie zawdzięczali swą wielkość w znacznej części matkom, którym dzisiejsze prądy umysłowe chcą berło odjąć, a oddać nadzorowi państwowej policji.

Najmłodsza córka, Emilcia, wyjątkowo obdarzona od natury, zasłużyła sobie przymiotami swymi na szczególne wspomnienie w *Rozrywkach dla dzieci*, skreślone przez Tańską.

Pamiętam dobrze tę prawie anielską postać, bo mnie, małego dzieciaka, zaszczyciała swojemi łaskami.

Chora na piersi, nieraz wynoszona, dla sił osłabłych, błada jak wosk, z rumieńcami wypieczonemi na twarzy, całe piękne dni lata przepędzała w rodzaju groty, z widokiem na Wisłę, w ogrodzie poza gmachami uniwersytetu, z dawnego swego przeznaczenia zwanym „Botaniką“. Tam gromadziliśmy się, miejscowe dzieciaki, około stóp sympatycznej chorej, a ta w zamian za wodę, którąśmy jej z bijącego źródła dla uspokojenia trawiącej gorączki przynosili, za kwiatki, któreśmy dla niej

¹⁾ Porów. „Fryderyk Chopin“ przez Karasowskiego, T. I, str. 8 — 18.

po łącznie rwali, opowiadała nam, cichym, przysłyszonym suchotniczym głosem, różne historie i bajki. Było tego mnóstwo, że aż czasem ze zmęczenia kaszel przerywał jej mowę.

Pośród opowieści z Perraulta lub z *Tysiąca i jednej nocy*, zawsze chciwie słuchanych przez zgraję wisusów ogródkowych, zapamiętałem też i inne, a z nich dwie w szczególności; jedną o głupim Bartku, co dom spalił, chcąc się raz uwolnić od robactwa. — Pluż znamy takich Bartków, niechętnych do drobnej, mozolnej, ale koniecznej pracy, a poczynających zaraz od gwałtownych reform! Druga bajka omówiła nam o bogaczu, który pozwolił biednej wdowie obsiewać kilka zagonów roli; ta zaś przez wdzięczność, wiedząc jak bogacz lilie białe lubi, corok w zakątku zasiewała je i ofiarowywała mu na imieniny. Bogacz zbankrutował; pałace, dobra, świetne cugi przeszły w obce ręce, aż i ze zgryzoty umarł sam wdowy dobrodziej. Ta jednak, jego łaskę pamiętną, zasadziła na jego grobie jedną białą lilią. Lilia wszystkie dawne wielkości przetrwała i sama jedna kwitnie corok, jako pomnik wdzięczności.

Nie umiem opowiadać tych rzeczy z wdziękiem słowa, jaki posiadała Emilcia; to wiem, iż my wszyscy, ówczesni jej słuchacze, nadługo zapamiętaliśmy, iż bogactwa są rzeczą całkiem przygodną i zmienną, przemijającą łatwo, a to jedynie, cośmy dla drugich zrobili, stawia nam trwale, choćby skromne, jak te lilie, pomniki wdzięczności.

Lekarz, zdaje się Malcz, zalecił p. Emilii pić kozie mleko; przynosiła je, ciepłe jeszcze, siostra chorej, Ludwika, ale woń tego napoju była dla cierpiącej tak przykrą, że ile razy nie dopilnowano wypicia, dziewczę wylewało mleko na ziemię.

Pewnego dnia słabsza, niż zwyczajnie, cała rozgorączkowana, wypila mleko odrazu — obróciła się do siostry z tym miłym, sobie właściwym, uśmiechem, i rzekła:

— Czy ty wierzysz, — rzekła, — że to paskudztwo mnie zbawi, kiedy ja czuję już w piersiach żelazne szpony śmierci? Wypiłam, lecz tylko dla tego, abyś mogła powiedzieć matce, że jestem posłuszną doktorowi.

Wtem nagle, pomimo upału, dreszcz przebiegł chorą po całym ciele; zaczęła się uskarżać, że jej zimno. Panna Ludwika pobięła po ciepłą chustkę, ale i ta nie pomogła. Niedługo potem nadeszli ojciec, brat i uprowadzili biedną, która już nie miała zobaczyć ulubionego ogródka i grotu.

W jakie pół roku, w początku wiosny, wieko białej trumny, z wiankiem pańienstwa, stało przed sienią domu. Nasza Emilcia na katafalku wyglądała, jak śpiąca. Rumieniec, uśmiech słodczy, wdzięk łagodności, zdobyły jeszcze tę twarz wychudłą i wybladłą. My dzieci, patrząc na nią w osłupieniu, nie mogliśmy pojąć, co się z nią stało? i wierzyliśmy w letarg, w zmartwychwstanie. Dopiero, gdy zajeżdżał karawan, gdy xiądz Rzymski, wizytator Missyonarzy, ubrany w czarną kapę, nadział biret na głowę i zaintonował smutny hymn pogrzebowy, gdy kondukt ruszył zprzed mieszkania, płacz, jęki rodziców i rodzeństwa dały nam poznać, że więcej już ukochanej naszej Emilci nie obaczymy. Zwiędły tak prędko kwiatusek, liczył zaledwie piętnastą wiosnę.

Najstarsza ze wszystkich trzech siostr panna Ludwika, rysami twarzy, konwersacją, rozumną, dowcipną, najwięcej przypominała pochodzenie ojca, i podobną była do brata. Wyszła ona potem za Jędrzejewicza, profesora prawa i administracji w Instytucie Agronomicznym w Marymoncie; ile pamiętam, najczęściej grywała na cztery ręce Fryderykiem, najwięcej oboje mieli zawsze coś do powiedzenia sobie: zdaje się zatem, że nasz wirtuoz do tej starszej swej siostry, jakby nawęcej żywił sympatyi. ¹⁾

Panna Izabella, o typie twarzy i obejściu czysto polskim, otwartym, weselszym, więcej zajęta pomaganiem w zarządzie domu matce, wyszła owiele później od siostry za małż. za Antoniego Barcińskiego, profesora matematyki w Instytucie

Politechnicznym, a raczej w Szkole przygotowawczej do Instytutu, a późniejszego dyrektora Żeglugi parowej.

Był to autor jednego z najdawniejszych dziełek polskich w materii handlowej, buchalteryi i rachunkowości kupieckiej.

Obie siostry podobno pod jego kierunkiem skreśliły i wydały dziełko popularno-ludowe pod tytułem: *Pan Wojciech, wzór pracy i oszczędności*. Dziełko to, mówiąc nawiasem, chybione, bo zaobszerne, obejmowało aż cztery tomy, przez co było i zadrogiem dla tych, dla których je głównie przeznaczono. Dziś należy ono do rzadkości.

(Dalszy ciąg nastąpi).

BEZWIEDNA MIŁOŚĆ

NO W E L L A.

(Dalszy ciąg).

— Mamo, ktoś stoi na ganku! — zawołała z radością.

— Zapewne Michał — odpowiedziała matka, ziewając. — Ona dobrze wiedziała, że to nie stary służący, ale zamilkła, serce jej biło żywo.

Co znaczyło to dziwne przecucie? Nigdy nie miała takiego niepokoju, wracając do domu, a teraz... Ośmnastoletnia główka marzyła o miłości.

Powóz stanął; młody człowiek o bujnej czuprynie i zadumanem spojrzeniu, zbliżył się, podał rękę matce i spytał głosem melodyjnym:

— Poznajesz mnie, ciociu?

— A kto to?

— Wacław Zahorski — do usług cioci dobrodziejki.

Młodzieniec podał obie ręce Heli, przyglądając jej mu się ciekawie.

Hela wyskoczyła z powozu.

— Kuzynka Hela!

— Braciszek Waciu!

I nie puszczając rąk, stali tak chwilę długą, zapatrzeni w siebie, przy blasku księżyca... oboje młodzi, smukli, wysoocy, oboje bruneci; tylko on miał oczy czarne, rozumne, głębokie jak przepaść, ona — siwe jasne, jak pogoda.

— Byłam pewna, że zastaniemy dzisiaj kogoś bardzo miłego — pierwsza przemówiła Hela.

— Zkąd wiedzieć można, czy jestem miły? nie znamy się jeszcze.

— O, braciszku, pamiętam cię z czasów naszego dzieciństwa; miałeś lat piętnaście, ja ośm. Opowiadałeś mi o starej Troi, świetnej Grecyi, potężnym Rzymie. Pamiętam, jak oburzaliśmy się na piękną Helenę, a uwielbialiśmy matkę Grachów i naszą Chrzanowską; jak boleliśmy nad śmiercią Sokratesa; z jakim zapałem wybieraliśmy się do grobu Zbawiciela; z jaką czcią pochylaliśmy głowę, mówiąc o pierwszych Chrześcijanach, a wdrygaliśmy się na świętą inkwizycję. Tamci bohaterowie starożytni zajmowali mnie więcej niż zakłete księżniczki mojej starej ochmistryni i figle mego brata Lutka. Z jakim zajęciem słuchałam twych planów na przyszłość, kiedy już miałeś pracować dla dobra ogółu, a walczyć przeciw złemu; jak żalowałam, że nie jestem chłopcem i nie mogę iść do szkół, jak ty! Potem słyszałam, że namiętnie lubisz naukę, że o własnej sile skończyłeś uniwersytet i akademią malarstwa, gdy tylnych w koło mnie nie chciało się uczyć, chociaż rodzice łożyli na nich tysiące. W wyobraźni mojej wyrosłeś na bohatera.

Po twarzy młodzieńca przemknął się delikatny rumieniec zawstyżenia. — Wierz mi — mówił ze spuszczonym wzrokiem, — że nic wielkiego nie zrobiłem jeszcze. Wielu moich kolegów było w tych samych co ja warunkach, a niektórzy mieli większe do przezwyciężenia trudności, bo, ucząc się i pracując na siebie, musieli jeszcze utrzymywać rodzinę; a ja myślałem tylko o sobie i dopiero mam nadzieję zapewnić wygodną przyszłość rodzicom.

Hela była zachwycona swym braciszkiem, który dał dowody takiej pracowitości i takiego hartu

duży, a nie pysznił się z tego i, przeciwnie, stał zawstydzony jej wyznaniem.

— Jakis ty skromny! o, ty na prawdę jesteś ideałem! Ale powiedz, braciszku, czemu tak dawno nie byłeś u nas? Tymczasem wszyscy twoi znajomi odwiedzali nas często.

— Walcząc o pierwsze potrzeby życia, z zasady nie bywałem u bogatych krewnych.

— Wczemże oni mogli ci przeszkadzać?

— Owszem, pomagać mi chcieli: a ja pragnąłem sam wszystko zdobyć. Pamiętam, właśnie wtedy, gdy miałem lat piętnaście i gdy się bawiłem dawnymi bohaterami, twój ojciec na pożegnanie dał mi kilkadziesiąt rubli. Nie chciałem wziąć; uściśkał mnie i rozkazał być posłusznym, pod karą — gniewu. Musiałem przyjąć. Potem — byłem mu wdzięcznym za jego dobre serce i teraz Kocham go z głębi duszy; ale pieniądze te paliły mnie: postanowiłem wtedy, że nie stanę na waszym progu, aż byt sobie zabezpieczę.

— Masz już posadę?

— Dopiero spodziewam się ją dostać. Podałem się na geografa-naturalistę wyprawy handlowej, udającej się do Afryki i Indyi Wschodnich. U nas trudno dojść do czegoś, a tam mogę zrobić karierę i przysłużyć się ludzkości jakim nowym odkryciem. Postaram się zebrać jaki kapitał, a wróciwszy do kraju, zajmę się pszczolnictwem. Był to jeden z głównych dochodów naszego kraju, teraz zaniedbany niesłusznie. Ale to jeszcze odległe projekta, a ja, niepoprawny marzyciel, nudzę cię niemi tak zaraz na wstępie.

— Owszem, braciszku, słucham cię z wielkiem zajęciem, mów dalej!

— Cóż ci powiem więcej? chyba to, że przyjechałem tu, niebędąc jeszcze pewnym posady, z powodu twej fotografii. Byłbym zawsze przyjechał na pożegnanie, przed wyruszeniem w daleką podróż, ale dopiero po upewnieniu się, że mam posadę, aby uczynić zadość memu dawniejszemu postanowieniu. A że tu jestem pierwsi, winna temu twoja fotografia, Helo; dojrzałem na niej taki zarys ust, taki wyraz oczu, że pragnąłem przekonać się, czy fotografia nie błądzi; przytem pamiętałem moją małą przyjaciółkę z lat dziecińczych i nie mogłem czekać tak długo na odnowienie znajomości. Teraz rad jestem, że posłuchałem tego popędu ciekawości, bo znajduję cię taką, jaką sobie wyobrażałem.

Hela, zarumieniona, spuściła główkę; czuła jakąś rozkoszną dumę, a przytem dziwne zawstyżenie, których-to uczuć nie mogły wywołać komplementa prawione jej przez lowelaś salonowych. Te proste słowa kuzynka uszczęśliwiły ją, a ona to uszczęśliwienie czuła teraz jeszcze, i zarumieniała się, jak dawniej. I tak, chwila po chwili, powstawało w pamięci Heli, z doskonałą dokładnością, jakby to było wczoraj, kilka dni spędzonych w towarzystwie Waciu, na spacerach i pływaniu łódką, a przedewszystkiem te nieustające rozmowy, w których umysł jej otwierał się pod wpływem obszernej wiedzy brata, jak kwiat do słońca. Przez te kilka dni Wacław więcej nowych poglądów rozwinął przed jej zdumionym umysłem, więcej kwestyj dał jej do rozwiązania, niż wszyscy razem wzięci jej profesorowie i znajomi. Nauczył ją patrzeć inaczej na świat, na życie, na obowiązki jednostki względem społeczeństwa. Czasem spierali się trochę, ale w końcu godzili się zawsze na jedno. A gdy ona wypowiedziała jaką nową myśl, która nagle, jak błyskawica, zaświeciła w jej umyśle, wtedy Wacław długie spojrzenie zatapiał w jej oczach i mówił: „To całkiem nowy pogląd; mam go od ciebie“.

Potem wpadł jeszcze na jeden dzień przed wyjazdem; pożegnał się czule i obiecał wrócić za pięć lat. Po wyjeździe pisywał listy długie, rozumne, zajmujące, a takie swobodne i serdeczne!

Zaklinał Hele, aby pisywała do niego często, a najwięcej o sobie, o tem, co myśli, bo on chce wiedzieć, czy jego sokoło wyrasta w sokoła. Pięć lat minęło, ale on nie wrócił, nawet przestał pisywać. Z krótkich wiadomości, przesyłanych rodzicom, wiedziała, że zdrowy, że mu się nieźle powodzi, ale nie mogła zasłyszeć niczego o powrocie, a w listach przeznaczonych dla rodziców do niej nie było ani słówka.

Hela zapytywała siebie i tej stojącej na biurku

1) Ten domysł autora zgadza się z dowodami, jakich dostarcza powyższe dzieło M. Karasowskiego. W dziele tem znaleźć można listy Fryderyka do Ludwika stwierdzające żywe przywiązanie bratnie. O trzech siostrach pisze p. Karasowski na str. 19 do 21-ej T. I.

fotografii: dlaczego zapomniał o niej? i poraz tyśiączny odpowiadała sobie z pokorą: — Nic dziwnego, nie wyrosłam w sokola: zatem przestałam go zajmować. A jednakże dla mnie on pozostał nazawsze najukochańszym bratem.

Zapatrzoną w fotografię Wacława, rozpoczęła surowy rachunek z lat ubiegłych. Czy to co zrobiła i zdobyła, odpowiadało temu, czego rzeczywiście mogła być dokazać przy zdolnościach, jakimi ją obdarzyła natura, przy środkach materialnych które ułatwiały każde zadanie?

Wprawdzie jej zależność jako córki i panny wyższego towarzystwa w wielu razach nieprzeparte stawiała zapory jej samodzielności, ale silna wola i wytrwałość wszystko zwycięża. Względem rodziców pokorna prośba, mniej zaś uwagi na przesady drugich — a niejedno przedsięwzięcie pomysłniejszym uwieńczyłyby się skutkiem. A ona owijała się nieraz płaszczem swej olimpijskiej dumy, i z poczuciem wyższości mijała przeciwników i przeszkody, mówiąc pogardliwie: czy to warto? Warto, zawsze warto, przekonać upartych, nawrócić błądzących, oświecić zaślepionych.

Martwą ziemię, by ocucić,

Nie dżdżu, nie łez, westchnień trzeba,

Ognia trzeba! ognia trzeba!

powiedział Mickiewicz.

I wytrwalej pracy. — domawiała sobie w głębi ducha. Co uczyniła z iskrą Bożą tlejącą jej w sercu? czy roznieciła z niej płomień ogrzewający, i oświecający wkoło tych, którzy takiej iskry nie dostali w darze? Czy przedsięwzięcia swe pomimo niepowodzeń prowadziła wytrwale dalej? Nie, zaprawdę, nie. Nieraz milkła ze swem zdaniem, choć czuła, że było sprawiedliwem i dobrem, aby nie powiedziano, że zbyt jest emancypowaną; nieraz wyrzekła się niejednego zamiaru, bojąc się niepowodzenia. Jak takie postępowanie nazwać go trzeba? czy miłością bliźnich i dobrej sprawy? czy miłością samej siebie? Na twarz Heleny wystąpiły płomienie. Zjednała sobie niezachwianą dobrą sławę, stawiano ją za wzór innym pannom: a jednak cóż ona uczyniła w porównaniu z tem, co mogła i powinna była uczynić?

Nawet w stosunku z Wacławem czy wolno jej było przystać na tak łatwe zerwanie, czy powinna była przystać na tem, że na ostatni swój list nie odebrała żadnej odpowiedzi, i cztery lata czekała na nią? A może Wacław odpisał, tylko list jego przepadł w drodze. Znad Gangesu do Polski wiele niemiłych wypadków mogło spotkać drobną ćwiartkę papieru. Może on także czeka i dziwi się, że zapomniała o nim ta siostrzyčka Hela, za którą tęsknił najbardziej, którą prosił aby była dlań aniołem opiekunym, nicią łączącą go z krajem. Ślicznie wywiązała się z tej roli! Dlatego, że list jeden przepadł w drodze, ona milczy, jak kamień. W tej chwili Helena święcie wierzyła w zatrącenie listu, i dziwiła się, że jej to pierwszy raz przyszło na myśl. A on tam może tęskni. Jeśli tęskni, podszeptuje miłość własna to mógł napisać drugi list, od niego, jako od męża czynny, należy się więcej grzeczności, jeżeli pragnie jej listów, może prosić o nie... Narzucać mu się nie podobna. Ale on jest jej bratem, odpowiada serce, a wszystkie jego listy były tak serdeczne, tak pełne gorącej prośby, nie zapomniała o nim! Przytem on jest biedniejszy krewnym; zatem nie ubliżyłaby swej godności, narzucając mu się nawet z jednym listem. Tak, to było jej obowiązkiem; czuła w tej chwili, że popełniła grzech wielki, opuszczając tak tego, wprawdzie dobrowolnego, wygnanca, ale samego, wśród obcych, walczącego z niezwykłymi trudami życia, zdala od serc kochających, od ludzi, którzy mogliby go zrozumieć, pocieszyć w smutku, wesprzeć w chwili znużenia. Gdyby nawet on zapomniał, to ona ma prawo przypomnieć mu się sama, i ślać niekiedy słowa miłości i pociechy; bo któż to uczyni, jeżeli ona, rozumiejąca go najlepiej, nie weźmie tego na siebie?

Helena zapomniała o przybyciu hrabiny, o rodzicach czekających z herbata: postanowiła w tej chwili naprawić swą winę, gorączkowym

ruchem chwyciła ćwiartkę papieru i pióro... gdy głos chrapliwy odezwał się za drzwiami:

— Panno Heleno, czekamy wszyscy, my i herbata.

Wiadro zimnej wody nie otrzeźwiłoby jej tak szybko i tak niemile z jej marzeń o Waciu i gorączki pisania do niego, jak ten głos chrapliwy; rzuciła się niechętnie, a idąc, szepnęła:

— Ten zawsze.

Herbata nie przedstawia nic zajmującego, zatem pozostawmy w spokoju biesiadujących, a poznamy się z właścicielem tego tak wstrętnego dla Heleny głosu.

Był nim pan Józef Zahorski, starszy brat Wacława, przyjeżdżający colato na parę miesięcy do Zapola. Pan Józef był doskonałym kontrastem Wacława, którego uważał za największego oryginała na świecie, a siebie natomiast za najporządniejszego z ludzi. Przekonań nie miał żadnych: był kosmopolitą i bezwyznaniowcem, zajęcia — żadnego, bo z powołania był próżniakiem. Nauki uważał za złe konieczne, a zupełnie bezużyteczne dla ludzi skończonych, do których, naturalnie, siebie zaliczał.

Nie czytał nie nigdy, nawet gazet, corok tylko, w czasie letniego pobytu w Zapolu, przemęczył jaką krótką powiastkę dla przypodobania się Heli.

Nieposiadając żadnych, nawet elementarnych, wiadomości, uważał siebie za człowieka oświeconego, a pocziwy lud prosty nazywał pogardliwie bydłem, chociaż sam niewiele więcej umiał. Z wielkim trudem bowiem przeszedł zaledwie kilka klas, w jakimś prowincjonalnym gimnazjum, siedząc w każdej po parę lat, jakby mu żal było opuszczać tę drewnianą ławkę, na której zwykle drzemał. Wiedza, tak mozolnie zdobyta, nie trzymała się jednak jego głowy; dawno już był zapomniał tego, czego uczył się w dzieciństwie, a do wiadomości jego nie przybyło nic na to miejsce, oprócz doskonałej znajomości wszelkich gier w karty, szachy, bilard i t. d. Gdy miał lat dwadzieścia parę, rodzice jego stracili fortunę, pozostałe resztki wystarczały ledwie na biedne utrzymanie dwójga starszuchów.

Córki poszły na nauczycielki; młodszy, Wacław, walczył z losem, a najstarszy, Józef, czując wstręt do jakiegokolwiek pracy, zajął się wypożyczaniem cudzych kapitałów, odrachowując sobie za to pewne procenta.

W ten sposób zebrał znaczny kapitał, powiększył go w paru szczęśliwych spekulacjach; teraz w błogiej beczynności żył w Wilnie z procentu, przyczyniając się wraz z innymi dziećmi do utrzymania rodziców, z którymi mieszkał, zdając wszelkie kłopoty na głowę matki. Nie zgrywał się, jak dawniej, w karty, nie hulał: zatem sądził się najporządniejszym człowiekiem w świecie.

Dawniej był bardzo przystojnym: więc i teraz zachował dobre wyobrażenie o swej powierzchowności, chociaż wypadło mu kilka zębów, a twarz poczerwieniała niemile i stała się podobną do gąbki.

Wyczesawał starannie wypomadowany czub, śpiczasto obcinał paznokcie, polerując je starannie i wydelikacując niebardzo zgrabne ręce. Chodził, podrygując pretensjonalnie, i wierzył, że serce kuzynki uderzy zczasem dla niego.

Jak bowiem próżniactwo było jego jedyną rozkoszą, tak jedyną znowu słabością była kuzynka Hela. Ale ta miała nieprzewyciężony wstręt do jego bezwyznaniowości, kosmopolityzmu i próżniactwa. Wyrzucała sobie to nieraz, bo kuzynek od lat wielu dawał jej ciągle dowody uprzejmości i troskliwości, do czego wobec innych nie był zdolnym. Hela, przyznając mu, że w gruncie nie jest zupełnie złym, nie mogła go znosić i wypowiadała mu czasem ostrą prawdę.

On zaś miał szczególniejszą admiracją dla kuzynki; jej wykształcenie, pracowitość, zalety, których sam nie posiadał, budziły w nim podziwienie, a energia i odwaga przekonań pewne trwożliwe poszanowanie.

Ta potężna, bogata natura, wywierała na nim wpływ, któremu się oprzeć nie próbował. Parę razy trafiała mu się sposobność wcale dobrego ożenienia: nie skorzystał, bo słaba nadzieja zyskania wzajemności kuzynki wstrzymywała go od stanowczego kroku. Raz Hela powiedziała mu,

nieopatrznie w jakiejś rozmowie, że trwale, nieoślabione latami, ani przeszkodami, przywiązanie potrafiłoby chyba pozyskać jej wzajemność i stopić lody jej serca. Mówiła, nie myśląc wcale o nim, i zapomniała już dawno o tem. To też zdziwiłaby się mocno, gdyby jej kto powiedział, że pan Józef wziął to do siebie i na tem nieuważnie rzuconem zdaniu budował gmach swego szczęścia. Przeciwnie pewną była, że zapomniał już o dawniejszych swych względem niej zamiarach, a coroczne jego wizyty w Zapolu uważała jako zwykłe odwiedziny krewnych.

Pan Józef jednak myślał całkiem co innego. Corok, jadąc do Zapola, brał ze sobą pierścionek w pudełeczku, z tem przekonaniem, że teraz zapewne się zaręczy. Niby od niechcenia pokazywał kuzynce pierścionek i proponował zamianę.

Hela odpowiadała z wielką grzecznością, że woli pozostać przy swoim. A on milknął, zasmucony, mówiąc sobie w duchu, że jeszcze nie przyszła pora; miał bowiem ten takt, że nigdy wyraźnie się nie oświadczył. A przypisując niepowodzenie pierścionkowi, zaraz po powrocie do Wilna, odmieniał go u złotnika na coraz kosztowniejszy, z dopłatą kilkunastu lub kilkudziesięciu rubli, i ten handel pierścionkowy prowadził lat kilka, w przekonaniu, że przecie trafi na taki, który Helę znieci i nakłoni do zmiany. Lata bieły, a on wyczekiwał i miał nadzieję. Cieszył się każdym harbuzem danym przez Helę, jako jednym szczebelku wyżej na drodze do nieba. Śledził niezmordowanie wszystkich jej konkurentów, i niby chwając, wynajdywał w nich wady i ośmieszał ich na każdym kroku.

Zresztą lekceważył swych rywali, uznając ich za niegodnych wzajemności kuzynki. Jednego tylko obawiał się: Wacława. Czuł on zbyt wielką wyższość brata, widział dlań słabość Heli, którą lepiej rozumiał, niż ona sama, i zazdrościł mu nauki, wytrwałości w raz obranym zawodzie, a przede wszystkim względów kuzynki.

Po wyjeździe hrabiny Wigorskiej Józef odszukał Helę w altanie i począł wypyttywać ją o hrabiego Zdzisława. Hela z początku odpowiadała obojętnie; w końcu znudziła ją ta indagacja, w złośliwym prowadzona tonie, i przemówiła trochę cierpko:

— Cóż znowu przewinił ci pan Zdzisław, że mu nie dajesz spokoju?

— Bo pewny jestem, że po powrocie z Węgier będzie konkurrował o pannę Helę, a życząc jej szczęścia z głębi serca, pragnąłbym, aby dobry zrobiła wybór.

— I dlatego, kuzynku, obgadujesz hrabiego Wigorskiego, którego rodzice moi napewno życzyliby sobie na zięcia.

— A kuzynka go broni: zatem nie pozostaje mi nic, jeno powinszować mu szczęścia.

— Jeszcze nie wiemy: czy on to uważa za szczęście, i czy tego pragnie?

— Nie udawaj, Helo. Pewny jestem, że nietylko wujowstwo i ja, ale i kuzynka dobrodziejka doskonale zrozumiała dzisiejsze preludya pani hrabiny.

— Syn może mieć inne zamiary. Posag mój niewielki....

(Dalszy ciąg nastąpi).

ECHA Z CZECH.

„Žensky vyrobni spolek“ w Pradze. — Sprawozdanie. — Pani Anna Kollarowa, artystka. — Patryotyczne ofiary Józefa Hlavka. — Z literatury: Katalog bibliograficzny słowiański. — Ruch w literaturze. — „Czechy“, wydawnictwo pomnikowe. — Pieśni Maryi Czackiej. — Przekłady z polskiego. — Słowo o Pradze.

Pomiędzy nadzwyczaj licznymi towarzystwami, które w przeciągu ostatnich lat czterdziestu powstały w Czechach, zajmuje „Žensky vyrobni spolek“ w Pradze niewątpliwie jedno z najwybitniejszych stanowisk. Mamy obecnie w Czechach parę tysięcy rozmaitych stowarzyszeń, jednak tylko bardzo mało z nich może się pochlubić tak pożyteczną i pożądaną działalnością, jak właśnie „Vyrobni spolek“.

po łączył rwały, opowiadała nam, cichym, przysłyszonym suchotniczym głosem, różne historie i bajki. Było tego mnóstwo, że aż czasem ze zmęczenia kaszel przerywał jej mowę.

Pośród opowieści z Perraulta lub z *Tysiąca i jednej nocy*, zawsze chciwie słuchanych przez zgraję wisusów ogródkowych, zapamiętałem też i inne, a z nich dwie w szczególności; jedną o głupim Bartku, co dom spalił, chcąc się raz uwolnić od robactwa. — Iluż znamy takich Bartków, niechętnych do drobnej, mozolnej, ale koniecznej pracy, a poczynających zaraz od gwałtownych reform! Druga bajka omówiła nam o bogaczu, który pozwolił biednej wdowie obsiewać kilka zagonów roli; ta zaś przez wdzięczność, wiedząc jak bogacz lilie białe lubi, corok w zakątku zasiewała je i ofiarowywała mu na imieniny. Bogacz zbankrutował; pałace, dobra, świetne cugi przeszły w obce ręce, aż i ze zgryzoty umarł sam wdowy dobrodziej. Ta jednak, jego łask pamiętna, zasadziła na jego grobie jedną białą lilię. Lilia wszystkie dawne wielkości przetrwała i sama jedna kwitnie corok, jako pomnik wdzięczności.

Nie umiem opowiadać tych rzeczy z wdziękiem słowa, jaki posiadała Emilcia; to wiem, iż my wszyscy, ówczesni jej słuchacze, nadługo zapamiętaliśmy, iż bogactwa są rzeczą całkiem przygodną i zmienną, przemijającą łatwo, a to jedynie, cośmy dla drugich zrobili, stawia nam trwałe, choćby skromne, jak te lilie, pomniki wdzięczności.

Lekarz, zdaje się Malecz, zalecił p. Emilii pić kozie mleko; przynosiła je, ciepłe jeszcze, siostra chorej, Ludwika, ale woń tego napoju była dla cierpiącej tak przykłą, że ile razy nie dopilnowano wypicia, dziewczę wylewało mleko na ziemię.

Pewnego dnia słabsza, niż zwyczajnie, cała rozgorączkowana, wypila mleko odrazu — obróciła się do siostry z tym miłym, sobie właściwym, uśmiechem, i rzekła:

— Czy ty wierzysz, — rzekła, — że to paskudztwo mnie zbawi, kiedy ja czuję już w piersiach żelazne szpony śmierci? Wypiłam, lecz tylko dla tego, abys mogła powiedzieć matce, że jestem posłuszną doktorowi.

Wtem nagle, pomimo upału, dreszcz przebiegł chorą po całym ciele; zaczęła się uskarżać, że jej zimno. Panna Ludwika pobięła po ciepłą chustkę, ale i ta nie pomogła. Niedługo potem nadeszli ojciec, brat i uprowadzili biedną, która już nie miała zobaczyć ulubionego ogródka i grotty.

W jakie pół roku, w początku wiosny, wieko białej trumny, z wiankiem panieństwa, stało przed sienią domu. Nasza Emilcia na katafalku wyglądała, jak śpiąca. Rumieniec, uśmiech słodczy, wdzięki łagodności, zdobiły jeszcze tę twarz wychudłą i wybladłą. My dzieci, patrząc na nią w osłupieniu, nie mogliśmy pojąć, co się z nią stało? i wierzyliśmy w letarg, w zmartwychwstanie. Dopiero, gdy zajechał karawan, gdy xiądz Rzymski, wizytator Misjonarzy, ubrany w czarną kapę, nadział biret na głowę i zaintonował smutny hymn pogrzebowy, gdy kondukt ruszył zprzed mieszkania, płacz, jęki rodziców i rodzeństwa dały nam poznać, że więcej już ukochanej naszej Emilci nie obaczmy. Zwiędły tak prędko kwiatusek, liczył zaledwie piętnastą wiosnę.

Najstarsza ze wszystkich trzech siostr panna Ludwika, rysami twarzy, konwersacją rozumną, dowcipną, najwięcej przypominającą pochodzenie ojca, i podobną była do brata. Wyszła ona potem za Jędrzejewicza, profesora prawa i administracji w Instytucie Agronomicznym w Marymoncie; ile pamiętam, najczęściej grywała na cztery ręce z Fryderykiem, najwięcej oboje mieli zawsze coś do powiedzenia sobie: zdaje się zatem, że nasz wirtuoz do tej starszej swej siostry, jakby nawęcej żywił sympatię.¹⁾

Panna Izabella, o typie twarzy i obejściu czysto polskiem, otwartym, weselszym, więcej zajęta pomaganiem w zarządzie domu matce, wyszła owiele później od siostry za Antoniego Barcińskiego, profesora matematyki w Instytucie

Politechnicznym, a raczej w Szkole przygotowawczej do Instytutu, a późniejszego dyrektora Żeglugi parowej.

Był to autor jednego z najdawniejszych dziełek polskich w materii handlowej, buchalterii i rachunkowości kupieckiej.

Obie siostry podobno pod jego kierunkiem skreśliły i wydały dziełko popularno-ludowe pod tytułem: *Fan Wojciech, wzór pracy i oszczędności*. Dziełko to, mówiąc nawiasem, chybiło, bo zaobszerne, obejmowało aż cztery tomy, przez co było i zadrogiem dla tych, dla których je głównie przeznaczono. Dzisiaj należy ono do rzadkości.

(Dalszy ciąg nastąpi).

BEZWIEDNA MIŁOŚĆ

N O W E L L A.

(Dalszy ciąg).

— Mamo, ktoś stoi na ganku! — zawołała z radością.

— Zapewne Michał — odpowiedziała matka, ziewając. — Ona dobrze wiedziała, że to nie stary służący, ale zamilkła, serce jej było żywo.

Co znaczyło to dziwne przecucie? Nigdy nie miała takiego niepokoju, wracając do domu, a teraz... Osmnastoletnia główka marzyła o miłości.

Powóz stanął; młody człowiek o bujnej czuprynie i zadumanem spojrzeniu, zbliżył się, podał rękę matce i spytał głosem melodyjnym:

— Poznajesz mnie, ciociu?

— A kto to?

— Wacław Zahorski — do usług cioci dobrodziejki.

Młodzieniec podał obie ręce Heli, przyglądając jej mu się ciekawie.

Hela wyskoczyła z powozu.

— Kuzynka Hela!

— Braciszek Waciu!

I nie puszczać rąk, stali tak chwilę długą, zapatrzeni w siebie, przy blasku księżyca... oboje młodzi, smukli, wysoocy, oboje bruneci; tylko on miał oczy czarne, rozumne, głębokie jak przepaść, ona — siwe jasne, jak pogoda.

— Byłam pewna, że zastaniemy dzisiaj kogoś bardzo miłego — pierwsza przemówiła Hela.

— Zkąd wiedzieć można, czy jestem miły? nie znamy się jeszcze.

— O, braciszku, pamiętam cię z czasów naszego dzieciństwa; miałeś lat piętnaście, ja ośm. Opowiadałeś mi o starej Troi, świetnej Grecji, potężnym Rzymie. Pamiętam, jak oburzaliśmy się na piękną Helenę, a uwielbialiśmy matkę Grachów i naszą Chrzanowską; jak boleliśmy nad śmiercią Sokratesa; z jakim zapałem wybieraliśmy się do grobu Zbawiciela; z jaką czcią pochylaliśmy głowę, mówiąc o pierwszych Chrześcijanach, a wzdrzaliśmy się na świętą inkwizycję. Tamci bohaterowie starożytni zajmowali mnie więcej niż zakłete księżniczki mojej starej ochmistrzyni i figle mego brata Lutka. Z jakim zajęciem słuchałam twych planów na przyszłość, kiedy już miałeś pracować dla dobra ogółu, a walczyć przeciw złemu; jak żałowałam, że nie jestem chłopcem i nie mogę iść do szkół, jak ty! Potem słyszałam, że namiętnie lubisz naukę, że o własnej sile skończyłeś uniwersytet i akademię malarstwa, gdy tylu innych w koło mnie nie chciało się uczyć, chociaż rodzice łożyli na nich tysiące. W wyobraźni mojej wyrosłeś na bohatera.

Po twarzy młodzieńca przemknął się delikatny rumieniec zawstydenia. — Wierz mi — mówił ze spuszczonego wzrokiem, — że nic wielkiego nie zrobiłem jeszcze. Wielu moich kolegów było w tych samych co ja warunkach, a niektórzy mieli większe do przezwyciężenia trudności, bo, ucząc się i pracując na siebie, musieli jeszcze utrzymywać rodzinę; a ja myślałem tylko o sobie i dopiero mam nadzieję zapewnić wygodną przyszłość rodzicom.

Hela była zachwycona swym braciszkiem, który dał dowody takiej pracowitości i takiego hartu

duszy, a nie pysznił się z tego i, przeciwnie, stał zawstydzony jej wyznaniem.

— Jakiś ty skromny! o, ty na prawdę jesteś ideałem! Ale powiedz, braciszku, czemu tak dawno nie byłeś u nas? Tymczasem wszyscy twoi znajomi odwiedzali nas często.

— Walcząc o pierwsze potrzeby życia, z zasady nie bywałem u bogatych krewnych.

— Wczemże oni mogli ci przeszkadzać?

— Owszem, pomagać mi chcieli; a ja pragnąłem sam wszystko zdobyć. Pamiętam, właśnie wtedy, gdy miałem lat piętnaście i gdy się bawiłem dawnymi bohaterami, twój ojciec na pożegnanie dał mi kilkadziesiąt rubli. Nie chciałem wziąć; uścił mnie i rozkazał być posłusznym, pod karą — gniewu. Musiałem przyjąć. Potem — byłem mu wdzięcznym za jego dobre serce i teraz kocham go z głębi duszy; ale pieniądze te paliły mnie: postanowiłem wtedy, że nie stanę na waszym progu, aż byt sobie zabezpieczę.

— Masz już posadę?

— Dopiero spodziewam się ją dostać. Podałem się na geografa-naturalistę wyprawy handlowej, udającej się do Afryki i Indji Wschodnich. U nas trudno dojść do czegoś, a tam mogę zrobić karierę i przysłużyć się ludzkości jakim nowym odkryciem. Postaram się zebrać jaki kapitał, a wróciwszy do kraju, zajmę się pszczolnictwem. Był to jeden z głównych dochodów naszego kraju, teraz zaniedbany niesłusznie. Ale to jeszcze odległe projekta, a ja, niepoprawny marzyciel, nudzę cię niemi tak zaraz na wstępie.

— Owszem, braciszku, słucham cię z wielkiem zajęciem, mów dalej!

— Cóż ci powiem więcej? chyba to, że przyjechałem tu, niebędąc jeszcze pewnym posady, z powodu twej fotografii. Byłbym zawsze przyjechał na pożegnanie, przed wyruszeniem w daleką podróż, ale dopiero po upewnieniu się, że mam posadę, aby uczynić zadość memu dawniejszemu postanowieniu. A że tu jestem pierwszej, winna temu twoja fotografia, Hela; dojrzałem na niej taki zarys ust, taki wyraz oczu, że pragnąłem przekonać się, czy fotografia nie błądzi; przytem pamiętałem moją małą przyjaciółkę z lat dziecińczych i nie mogłem czekać tak długo na odnowienie znajomości. Teraz rad jestem, że posłuchałem tego popędu ciekawości, bo znajduję cię taką, jaką sobie wyobrażałem.

Hela, zarumieniona, spuściła główkę; czuła jakąś rozkoszną dumę, a przytem dziwne zawstydenie, których-to uczuć nie mogły wywołać komplimenta prawione jej przez lowelasów salonowych. Te proste słowa kuzynka uszczęśliwiły ją, a ona to uszczęśliwienie czuła teraz jeszcze, i zarumieniła się, jak dawniej. I tak, chwila po chwili, powstawało w pamięci Heli, z doskonałą dokładnością, jakby to było wczoraj, kilka dni spędzonych w towarzystwie Waciu, na spacerach i pływaniu łódką, a przede wszystkim te nieustające rozmowy, w których umysł jej otwierał się pod wpływem obszernej wiedzy brata, jak kwiat do słońca. Przez te kilka dni Wacław więcej nowych poglądów rozwiniął przed jej zdumionym umysłem, więcej kwestyj dał jej do rozwiązania, niż wszyscy razem wzięci jej profesorowie i znajomi. Nauczył ją patrzeć inaczej na świat, na życie, na obowiązki jednostki względem społeczeństwa. Czasem spierali się trochę, ale w końcu godzili się zawsze na jedno. A gdy ona wypowiedziała jaką nową myśl, która nagle, jak błyskawica, zaświeciła w jej umyśle, wtedy Wacław długie spojrzenie zatapiał w jej oczach i mówił: „To całkiem nowy pogląd; mam go od ciebie“.

Potem wpadł jeszcze na jeden dzień przed wyjazdem; pożegnał się czule i obiecał wrócić za pięć lat. Po wyjeździe pisywał listy długie, rozumne, zajmujące, a takie swobodne i serdeczne!

Zaklinał Helę, aby pisywała do niego często, a najwięcej o sobie, o tem, co myśli, bo on chce wiedzieć, czy jego sokole wyrasta w sokoła. Pięć lat minęło, ale on nie wrócił, nawet przestał pisywać. Z krótkich wiadomości, przesyłanych rodzicom, wiedziała, że zdrów, że mu się nieźle powodzi, ale nie mogła zasłyszec niczego o powrocie, a w listach przeznaczonych dla rodziców do niej nie było ani słówka.

Hela zapytywała siebie i tej stojącej na biurku

1) Ten domysł autora zgadza się z dowodami, jakich dostarcza powyższe dzieło M. Karasowskiego. W dziele tem znaleźć można listy Fryderyka do Ludwika stwierdzające żywe przywiązanie bratnie. O trzech siostrach pisze p. Karasowski na str. 19 do 21-ej T. I.

fotografii: dlaczego zapomniał o niej? i poraz ty-
siący odpowiadała sobie z pokorą: — Nie dzi-
wnego, nie wyrosłam w sokoła: zatem przestałam
go zajmować. A jednakże dla mnie on pozostał
nazawsze najukochańszym bratem.

Zapatrzona w fotografię Waclawa, rozpoczęła
surowy rachunek z lat ubiegłych. Czy to co zrobi-
ła i zdobyła, odpowiadało temu, czego rzeczywiście
mogła była dokazać przy zdolnościach, jakimi ją
obdarzyła natura, przy środkach materialnych
które ułatwiały każde zadanie?

Wprawdzie jej zależność jako córki i panny
wyższego towarzystwa w wielu razach nieprze-
parte stawiała zapory jej samodzielności, ale silna
wola i wytrwałość wszystko zwycięża. Względem
rodziców pokorna prośba, mniej zaś uwagi na
przesady drugich — a niejedno przedsięwzięcie po-
myślniejszym uwieńczyłyby się skutkiem. A ona
owijała się nieraz płaszczem swej olimpijskiej du-
my, i z poczuciem wyższości mijała przeciwników
i przeszkody, mówiąc pogardliwie: czy to warto?
Warto, zawsze warto, przekonać upartych, na-
wrócić błądzących, oświecić zaślepionych.

Martwą ziemię, by ocucić,

Nie dżdżu, nie łez, westchnień trzeba,

Ognia trzeba! ognia trzeba!

powiedział Mickiewicz.

I wytrwałej pracy. — domawiała sobie w głębi
ducha. Co uczyniła z iskrą Bożą tlejącą jej w
sercu? czy roznieciła z niej płomień ogrzewający,
i oświecający wkoło tych, którzy takiej iskry nie
dostali w darze? Czy przedsięwzięcia swe pomi-
mo niepowodzeń prowadziła wytrwale dalej? Nie,
zaprawdę, nie. Nieraz milkła ze swem zdaniem,
choć czuła, że było sprawiedliwie i dobrze, aby
nie powiedziano, że zbyt jest emancypowaną; nieraz
wyrzekła się niejednego zamiaru, bojąc się niepo-
wodzenia. Jak takie postępowanie nazwać go
trzeba? czy miłością bliźnich i dobrej sprawy? czy
miłością samej siebie? Na twarz Heleny wystą-
piły płomienie. Zjednała sobie niezachwianą do-
brą sławę, stawiano ją za wzór innym pannom: a
jednak cóż ona uczyniła w porównaniu z tem, co
mogła i powinna była uczynić?

Nawet w stosunku z Waclawem czy wolno jej
było przystać na tak łatwe zerwanie, czy powinna
była pozostać na tem, że na ostatni swój list
nie odebrała żadnej odpowiedzi, i cztery lata cze-
kała na nią? A może Waclaw odpisał, tylko list
jego przepadł w drodze. Znad Gangesu do
Polski wiele niemiłych wypadków mogło spot-
kać drobną ćwiartkę papieru. Może on także
czeka i dziwi się, że zapomniała o nim ta siostrzy-
czka Hela, za którą tęsknił najbardziej, którą prosił
aby była dlań aniołem opiekunicy, nicią łączącą
go z krajem. Ślicznie wywiązała się z tej roli!
Dlatego, że list jeden przepadł w drodze, ona mil-
czy, jak kamień. W tej chwili Helena święcie
wierzyła w zatracenie listu, i dziwiła się, że jej to
pierwszy raz przyszło na myśl. A on tam może
tęskni. Jeśli tęskni, podszeptuje miłość własna
to mógł napisać drugi list, od niego, jako od męż-
czyzny, należy się więcej grzeczności, jeżeli pra-
gnie jej listów, może prosić o nie... Narzucać mu się
nie podobna. Ale on jest jej bratem, odpowiada
serce, a wszystkie jego listy były tak serdeczne,
tak pełne gorącej prośby, aby nie zapomniała o
nim! Przytem on jest biedniejszym krewnym; za-
tem nie ubliżyłaby swej godności, narzucając mu
się nawet z jednym listem. Tak, to było jej obo-
wiązkiem; czuła w tej chwili, że popełniła grzech
wielki, opuszczając tak tego, wprawdzie dobro-
wolnego, wygnańca, ale samego, wśród obcych,
walczącego z niezwykle trudami życia, zdala
od serc kochających, od ludzi, którzy mogliby go
zrozumieć, pocieszyć w smutku, wesprzeć w chwili
znużenia. Gdyby nawet on zapomniał, to ona ma
prawo przypomnieć mu się sama, i ślać niekiedy
słowa miłości i pociechy; bo któż to uczyni, jeżeli
ona, rozumiejąca go najlepiej, nie weźmie tego na
siebie?

Helena zapomniała o przybyciu hrabiny, o ro-
dzicach czekających z herbatą: postanowiła
w tej chwili naprawić swą winę, gorączkowym

ruchem chwyciła ćwiartkę papieru i pióro... gdy
głos chrapliwy odezwał się za drzwiami:

— Panno Heleno, czekamy wszyscy, my i her-
bata.

Wiadro zimnej wody nie otrzeźwiłoby jej tak
szybko i tak niemiłe z jej marzeń o Waciu i go-
rączki pisanie do niego, jak ten głos chrapliwy;
rzuciła się niechętnie, a idąc, szepnęła:

— Ten zawsze.

Herbata nie przedstawia nic zajmującego, za-
tem pozostawmy w spokoju biesiadujących, a po-
znajmy się z właścicielem tego tak wstrętnego dla
Heleny głosu.

Był nim pan Józef Zahorski, starszy brat
Waclawa, przyjeżdżający colato na parę miesięcy
do Zapola. Pan Józef był doskonałym kontra-
stem Waclawa, którego uważał za największego
oryginała na świecie, a siebie natomiast za najpo-
rządniejszego z ludzi. Przekonań nie miał ża-
dnych: był kosmopolitą i bezwyznaniowcem, zaję-
cia — żadnego, bo z powołania był próżniakiem.
Nauki uważał za złe konieczne, a zupełnie bez-
użyteczne dla ludzi skończonych, do których, natu-
ralnie, siebie zaliczał.

Nie czytał nie nigdy, nawet gazet, corok tyl-
ko, w czasie letniego pobytu w Zapolu, przemęczył
jaką krótką powiastkę dla przypodobania się
Heli.

Nieposiadając żadnych, nawet elementarnych,
wiadomości, uważał siebie za człowieka oświeco-
nego, a pocziwy lud prosty nazywał pogardliwie
bydłem, chociaż sam niewiele więcej umiał.
Z wielkim trudem bowiem przeszedł zaledwie kil-
ka klas, w jakimś prowincjonalnem gimnazjum,
siedząc w każdej po parę lat, jakby mu żal było
opuszczać tę drewnianą ławkę, na której zwykle
drzemał. Wiedza, tak mozolnie zdobyta, nie trzyma-
ła się jednak jego głowy; dawno już był zapomniał
tego, czego uczył się w dzieciństwie, a do wiadomości
jego nie przybyło nic na to miejsce, oprócz doskonałej
znajomości wszelkich gier w karty, szachy, bilard
i t. d. Gdy miał lat dwadzieścia parę, rodzice je-
go stracili fortunę, pozostałe resztki wystarczały
ledwie na biedne utrzymanie dwójga starszuchów.

Córki poszły na nauczycielki; młodszy, Waclaw,
walczył z losem, a najstarszy, Józef, czując
wstręt do jakiegokolwiek pracy, zajął się wypoży-
czaniem cudzych kapitałów, odrachowując sobie
za to pewne procenta.

W ten sposób zebrał znaczny kapitał, powięk-
szył go w paru szczęśliwych spekulacjach; teraz
w błogiej bezczynności żył w Wilnie z procentu,
przyczyniając się wraz z innemi dziećmi do utrzy-
mania rodziców, z którymi mieszkał, zdając wszel-
kie kłopoty na głowę matki. Nie zgrywał się, jak
dawniej, w karty, nie hulał: zatem sądził się naj-
porządniejszym człowiekiem w świecie.

Dawniej był bardzo przystojnym: więc i teraz
zachował dobre wyobrażenie o swej powierzchow-
ności, chociaż wypadło mu kilka zębów, a twarz
poczerwieniała niemiłe i stała się podobną do
gąbki.

Wyczesywał starannie wypomadowany czub,
śpiczasto obcinał paznokcie, polerując je staran-
nie i wydelikacając niebardzo zgrabne ręce. Cho-
dził, podrygując pretensjonalnie, i wierzył, że ser-
ce kuzynki uderzy zczasem dla niego.

Jak bowiem próżniactwo było jego jedyną roz-
koszą, tak jedyną znowu słabością była kuzynka
Hela. Ale ta miała nieprzewidywany wstręt do
jego bezwyznaniowości, kosmopolityzmu i pró-
żniactwa. Wyrzucała sobie to nieraz, bo kuzynek
od lat wielu dawał jej ciągle dowody uprzejmo-
ści i troskliwości, do czego wobec innych nie był
zdolnym. Hela, przyznając mu, że w gruncie nie
jest zupełnie złym, nie mogła go znosić i wypowia-
dała mu czasem ostrą prawdę.

On zaś miał szczególniejszą admiracją dla ku-
zynki; jej wykształcenie, pracowitość, zalety, któ-
rych sam nie posiadał, budziły w nim podziwienie,
a energia i odwaga przekonań pewne trwożliwe
poszanowanie.

Ta potężna, bogata natura, wywierała na nim
wpływ, któremu się oprzeć nie próbował. Parę
razy trafiała mu się sposobność wcale dobrego
ożenienia: nie skorzystał, bo słaba nadzieja zy-
skania wzajemności kuzynki wstrzymywała go
od stanowczego kroku. Raz Hela powiedziała mu,

nieopatrznie w jakiejś rozmowie, że trwale, nieo-
słabione latami, ani przeszkodami, przywiązanie
potrafiłoby chyba pozyskać jej wzajemność i sto-
pić lody jej serca. Mówiła, nie myśląc wcale o
nim, i zapomniała już dawno o tem. To też zdzi-
wiłaby się mocno, gdyby jej kto powiedział, że
pan Józef wziął to do siebie i na tem nieuważnie
rzuconem zdaniu budował gmach swego szczęścia.
Przeciwnie pewną była, że zapomniał już dawniej-
szych swych względem niej zamiarach, a coroczne
jego wizyty w Zapolu uważała jako zwykłe od-
wiedziny krewnych.

Pan Józef jednak myślał całkiem co innego.
Corok, jadąc do Zapola, brał ze sobą pierścionek
w pudełeczku, z tem przekonaniem, że teraz za-
pewne się zaręczy. Niby od niechcenia pokazy-
wał kuzynce pierścionek i proponował zamianę.

Hela odpowiadała z wielką grzecznością, że
woli pozostać przy swoim. A on milknął, zasmu-
cony, mówiąc sobie w duchu, że jeszcze nie przy-
szła pora; miał bowiem ten takt, że nigdy wyra-
źnie się nie oświadczył. A przypisując niepo-
wodzenie pierścionkowi, zaraz po powrocie do Wil-
na, odmieniał go u złotnika na coraz kosztowniej-
szy, z dopłatą kilkunastu lub kilkudziesięciu rubli,
i ten handel pierścionkowy prowadził lat kilka,
w przekonaniu, że przecie trafi na taki, który
Helę znieci i nakłoni do zmiany. Lata biegły, a on
wyczekiwał i miał nadzieję. Cieszył się każdym
harbuzem danym przez Helę, jako jednym szcze-
belku wyżej na drodze do nieba. Śledził niezmor-
dowanie wszystkich jej konkurentów, i niby chwa-
ląc, wynajdywał w nich wady i ośmieszał ich
na każdym kroku.

Zresztą lekceważył swych rywali, uznając ich za
niegodnych wzajemności kuzynki. Jednego tylko
obawiał się: Waclawa. Czuł on zbyt wielką wyż-
szość brata, widział dlań słabość Heli, którą le-
piej rozumiał, niż ona sama, i zazdrościł mu nauki,
wytrwałości w raz obranym zawodzie, a przede-
wszystkiem względów kuzynki.

Po wyjeździe hrabiny Wigorskiej Józef od-
szukał Helę w altanie i począł wypytwać ją o
hrabiego Zdzisława. Hela z początku odpowia-
dała obojętnie; w końcu znudziła ją ta indagacja,
w złośliwym prowadzona tonie, i przemówiła tro-
chę cierpko:

— Cóż znowu przewinił ci pan Zdzisław, że mu
nie dajesz spokoju?

— Bo pewny jestem, że po powrocie z Węgier
będzie konkurrował o pannę Helę, a życząc jej
szczęścia z głębi serca, pragnąłbym, aby dobry
zrobiła wybór.

— I dlatego, kuzynku, obgadujesz hrabiego
Wigorskiego, którego rodzice moi napewno ży-
czyliby sobie na zięcia.

— A kuzynka go broni: zatem nie pozostaje mi
nic, jeno powinszować mu szczęścia.

— Jeszcze nie wiemy: czy on to uważa za
szczęście, i czy tego pragnie?

— Nie udawaj, Helo. Pewny jestem, że nie tylko
wujostwo i ja, ale i kuzynka dobrodziejka dosko-
nale zrozumiała dzisiejsze preludya pani hrabiny.

— Syn może mieć inne zamiary. Posag mój nie-
wielki....

(Dalszy ciąg nastąpi).

ECHA Z CZECH.

„Žensky vyrobni spolek“ w Pradze. — Sprawozdanie. — Pani Au-
na Kollarowa, artystka. — Patriotyczne ofiary Józefa Hlavka. —
Z literatury: Katalog bibliograficzny słowiański. — Ruch w li-
teraturze. — „Czechy“, wydawnictwo pomnikowe. — Pieśni Ma-
ryi Czackiej. — Przekłady z polskiego. — Słowo o Pradze.

Pomiędzy nadzwyczaj licznymi towarzystwami,
które w przeciągu ostatnich lat czterdziestu
powstały w Czechach, zajmuje „Žensky vyrobni
spolek“ w Pradze niewątpliwie jedno z najwybi-
tniejszych stanowisk. Mamy obecnie w Czechach
parę tysięcy rozmaitych stowarzyszeń, jednak
tylko bardzo mało z nich może się pochlubić tak
pożyteczną i pożądaną działalnością, jak właśnie
„Vyrobni spolek“.

W tych dniach odbyło się jedenaste walne zebranie (roczne) i jeden zapewne rzut oka na wielce wymowne sprawozdanie to wystarczy, ażeby się przekonać o skuteczności wyżej wymienionych stowarzyszeń. „Výrobní Spolek“ będąc kierowanym przez damy, nietylko wielce wykształcone, ale i patriotyczne, wypełnia już od wielu lat brak, którego usunięcia nie można nadto wychwalać. Prazki výrobní spolek—to to samo, co szkoła dla dziewcząt, które mają się stać istotami użytecznymi sobie i społeczeństwu.

Korzystając z rocznego sprawozdania, w tych dniach wydanego, nie waham się niniejszem zanotować przynajmniej kilku ciekawszych danych z przeszłorocznej działalności towarzystwa naszych patriotycznych kobiet; z góry jednak muszę nadmienić, że Výrobní Spolek jest utrzymywany prawie wyłącznie przez środki prywatne.

Otóż cały majątek „Výrobního Spolku“ wynosi obecnie 21.313 guldenów reńskich. Uczennic ogółem było 539, z których niemniej niż 255 było uwolnionych od opłaty wszelkich należności szkolnych. Co do sił nauczycielskich, to było 14 nauczycielek, 1 asystentka i 9 nauczycieli. Pod względem podziału pojedynczych wykładów przedstawia sprawozdanie następny rezultat: na oddział handlowy uczęszczało 67 uczennic, na oddział rysunkowy 57, na oddział drobnych prac ręcznych 81, na oddział wyrobu bielizny 317, wyrobu ubiorów 137, na oddział wyrzynania 51 i t. d.

W przeciągu 1882 roku wykonały dziewczęta 3.271 sztuk drobnych prac ręcznych, 5.102 sztuk bielizny, 1.374 sztuk ubiorów, 262 wyszywań. Oddzielnie uczono francuskiego języka, domowego gospodarstwa, kalligrafii, śpiewu, nawet ojczystego języka i t. d. Z tych krótkich notatek najlepiej się można przekonać, jak się Výrobní Spolek około swego celu krząta: nie dziw zatem, że towarzystwo tak sumiennie kierowane w całym kraju czeskim ma dużo zwolenników.

W celu rozszerzenia funduszy urządza Výrobní Spolek loteryą, na którą zebrano dotąd 4.586 przedmiotów. Losów jest 100.000 (po 20 kr., więc bardzo tanio); sprzedano z nich do dnia 30 Czerwca 54.761. — Nie wypada więc wątpić, że wszystkie losy będą rozprzedane i że zatem będzie korzystać dla towarzystwa znaczna.

Wkońcu muszę nadmienić, że Výrobní Spolek ma i swój organ: *Ženské listy*, które redaguje powszechnie znana poetka i tłumaczka *Pana Tadeusza* na język czeski, panna Eliszka Krasnohorská. O „Ženských listach“ mieliśmy już kilka razy sposobność w naszych korespondencyach wzmianki czynić.

W połowie przeszłego miesiąca umarła w Pradze kobieta, która przed laty należała do najpopularniejszych osobistości naszego miasta. Zmarłą była Anna Kollarowa, małżonka Jerzego Kollara, powszechnie znanego artysty i pisarza czeskiego. Pani Anna Kollarowa okazała już w młodym bardzo wieku niepospolity talent dramatyczny i występowała wcześniej z powodzeniem na scenie niemieckiej w Pradze. Gdy jednak i czeski teatr począł istnieć, dała się nakłonić i mimo to, że wychowana była zupełnie ponemiecku, poczęła grać i poczesku. Oddała się z nadzwyczajną pilnością nauce czeskiego języka i w krótkim czasie stała się pierwszą artystką dramatyczną czeską. Stosunki czeskiego teatru były wtedy bardzo trudne; Kollarowa musiała walczyć z niejedną przeciwnością. Wiadomo, że wtedy istniały tylko *popołudniowe* przedstawienia czeskie, wskutek czego nieraz zdarzało się, że pani Kollarowa w jednym i tym samym dniu grała poczesku i ponemiecku: popołudniu na przedstawieniu czeskim, a wieczorem na przedstawieniu niemieckim. P. Kollarowa była inteligentną, utalentowaną artystką; z najlepszych jej ról wymieniamy tylko: *Porcyę*, *Ofelię*, *Desdemone*, *Deborę*, *Dziwięc Orleańską*, *Maryę Stuart*, *Monikę*, *Magelonę* i t. d. Mimo to jednak, że artystka zbierała, swego czasu, hucnie wśród publiczności oklaski i nieraz tryumf odniosła ze sceny, niewdzięczny świat prędko o niej zapominał. Dziś tylko starzy patrioci pamiętali o pani Kollarowej, która, przeżywszy 65 lat wieku, zakończyła życie w zupełnym zapomnieniu. Niestety—jej miejsce zajęły artystki inne i świat nie miał

już czasu zajmować się kobietą, która ustąpiła z jego widowni....

Na brak patriotyzmu i poczucia prawdziwie obywatelskiego często dosyć narzekamy; a jednak są fakta, które—by można dowodzić, że nie tak źle jest, jak się czasami mniema. Otóż właśnie w tym czasie uczynił śliczny datek, ponowny w tym rodzaju, pan Józef Hlavka, urzędnik państwowy w Pradze. Ofiarował on, w celu urzędzenia stypendyów dla biednych studentów nowo-założonego uniwersytetu czeskiego, poważną w każdym razie sumę 23.000 guldenów reńskich; prócz tego złożył na podobne cele 8.000 guldenów. Towarzystwu Nauk (czeskiemu) i 8.000 guldenów, czeskiej politechnice: więc razem blisko 50.000 guldenów. Takie czyny nie potrzebują żadnych komentarzy.

W literaturze okazuje się ciągle ruch, dosyć uwagi godny. Najlepszym tego dowodem są publikacje bibliograficzne, które jasne rzucają światło na rozwój czeskiego piśmiennictwa. Dziś mamy już osobne czasopismo bibliograficzne, *Věstník Urbanka*, i prócz tego wychodzą bibliograficzne *Roczniki* od 1879 r. Szczególnie *Slovanský katalog bibliografický*, wydawany nakładem Towarzystwa Czeskich Buchhalterów Księgarskich, zasługuje na ogólną uwagę, tembardziej, ponieważ się w niem mieści, nietylko bibliografia czeska, ale i innych literatur słowiańskich. Rozumie się, że literatura polska zajmuje we wspomnianym katalogu, obok czeskiej, miejsce najzaszczytniejsze. Wypada dlatego też pragnąć, ażeby ta publikacja była w krajach słowiańskich i poza granicami czeskiemi więcej niż dotąd rozpowszechnioną. Dotąd jest liczba za granicami Czech rozprzedawanych „Katalogów słowiańskich“ bardzo mała: wydawanie ich zatem łączy się ze znacznymi ofiarami ze strony Towarzystwa Buchhalterów Księgarskich w Pradze. To samo towarzystwo nosi się z chwalebą myślą wydania czeskiej bibliografii, to jest spisu czeskich druków, wydanych w przeciągu lat 1864 — 1876. W latach tych nie wychodził żaden czesko-bibliograficzny rocznik; wydanie takiego dzieła jest więc podwójnie potrzebnem. Materiał już zebrano i chodzi teraz tylko o nakład. Korzystając z grzeczności członków towarzystwa księgarskiego, mieliśmy sposobność przejrzeć bogaty materiał, według którego było w przeciągu 1864—1876 roku wydanych blisko 14.000 druków czeskich.

W tych dniach zostało nasze piśmiennictwo wzbogacone przedsięwzięciem, z którym nie wahamy się pochłubić. Otóż nadzwyczaj przedsiębiorczy i zasłużony nakładca prazki, Jan Otto, rozpoczął właśnie wydawać w wielkich rozmiarach i pysznej oprawie dzieło *Czechy*. Będzie to opis wszystkich naszych okolic, ziemi dziedzicznej świętego Wacława, opis czeskich gór i równin, miast i wiosek, pamiątek historycznych i wogóle narodowych. Textu dostarczają pierwszorzędni literaci czescy (każdy z nich opíše ten zakątek, który najlepiej zna); ilustracye wykona znany artysta Karol Libšer. Pierwszy zeszyt tego wydawnictwa opuścił już prasę i przedstawia się bardzo pięknie. *Czechy* rozpoczynają się opisem malowniczych i uroczych okolic Szumawy (południowe Czechy), gdzie tyle się znajduje czeskich pamiątek historycznych i tyle cudownych krajobrazów. Dodać wypada, że *Czechy* redaguje F. A. Šubert, autor powszechnie znanego dzieła *Narodní Divadlo*. Takiemu, jak *Czechy*, przedsięwzięciu, życzyć wypada, naturalnie, najlepszego w każdym względzie powodzenia.

Nakładem księgarni J. L. Kobra wyszło drugie wydanie *Pieśni Maryi Czackiej* (Franciszki Pichlowej). Poezye te, choć nie odznaczają się siłą wielkiego talentu, mile się wszakże czytają i są pełne uczucia. Z innych wydawnictw czeskich wspominamy ponownie o prześlicznym dziele *Hradu a zamki czeskie*, którego dotąd już wydano zeszytów 21. Co powiedzieliśmy przy sposobności wydania pierwszego zeszytu i teraz możemy powtórzyć. Text odpowiada wymaganiom naukowym, a liczne rysunki mają rzeczywistą wartość.

W Pardubicach poczęło właśnie wychodzić nowe czeskie czasopismo, dwutygodnik *Slovanský obzor*, redaktorem którego jest znany tłumacz z języka polskiego, pan Ernst Szwab Polabsky.

Pierwszy numer zawiera, prócz innych prac, artykuł Franc. Kwapila *Z vlasti mohyl a krzyžu*.

Przekładów z języka polskiego ukazuje się w naszym piśmiennictwie coraz więcej; przytaczać tu wszystkie nie byłoby rzeczą korespondenta, ale bibliografa. Pomiędzy innemi opuścił prasę czeski przekład *Sroczyki* Adama Pluga. Tłómaczenie wyszło z pióra Jana Hudca; wydanie jest ilustrowane i bardzo pięknie się przedstawia. W czasopismach wychodzą przekłady z prac Kraszewskiego, Sienkiewicza, Orzeszkowej, Bałuckiego, Lenartowicza i t. d.

Na scenie ogródkowego teatru, pana Szwandu, mieliśmy sposobność widzieć *Artykuł 264* p. Kazimierza Zalewskiego, tłumaczył go J. L. Hovorka. Sztukę tę spotkało na scenie czeskiej wielkie powodzenie.

Pozostaje mi w końcu powiedzieć słów parę o naszej „złotej Pradze“.

Życie w niej jest obecnie ciche i spokojne—nawet zanadto spokojne. Młodzież pożegnała starożytne mury miasta i, korzystając z wakacyj, rozjechała się po całej prowincji, gdzie urządza w duchu narodowym odczyty lub zabawy. Nie dziw zresztą, że Praga czuje brak młodzieży, która wszędzie się przyczynia do ożywienia i która stanowi dosyć ważny czynnik publicznego życia. Oprócz studentów, wynieśli się „szczęśliwsi“ na letnie mieszkania, pozostawiając „mniej szczęśliwych“ w cieniu wysokich domów. Niestety, takich mniej szczęśliwych w Pradze, pozostaje przynajmniej 150.000 dusz. Nasuwa się więc pytanie: jak biedacy ci przepędzają długie dni letnich miesięcy? Czytają gazety i książki, czynią zadość swoim codziennym obowiązkom, chodzą na wycieczki, czasem do teatru, spacerują po wspaniałych lub ogródkach, a wieczorem niema może nie przyjemniejszego, nad wdychanie w siebie łagodnego powietrza zponad brzegu srebrnopiennej Wełtawy. Dziwny przedstawia się widok w tych miejscach szczególnie dla ludzi nie goniących za hałasem i blaskiem. Zwłaszcza podczas pogodnej nocy, gdy całą okolicę otacza wyniosła cisza, trudno Czechowi wybrać sobie miejsce, któreby większym spokojem mogło napelnić mu duszę.

Najładniejszym w tym względzie jest ów kawałek nadbrzeża, który się ciągnie od mostu łańcuchowego do mostu Karola. Rzuciwszy spojrzenie na cichutkie wody Wełtawy, zobaczysz w nich odbite wszystkie gwiazdy, świecące nad Pragą; rzuciwszy spojrzenie w górę, zobaczysz majestatyczny Hradczyn—zamek królewski, te mury, poza którymi kryje się korona św. Wacława; zobaczysz w architektonicznej harmonii to wszystko, czem Czesi rośli i czem upadli. Spojrzysz nareszcie w lewą stronę i dostrzeżesz białe mury teatru narodowego, który lud czeski raz drugi buduje.

Widok ten nigdy nie jest starym, a zawsze się zdaje być nowym i przyciągającym. Nigdy też nie wracamy z tych miejsc znudzeni lub przesyceń, lecz zawsze z postanowieniem; że „jutro“ ponownie do nich wrócimy. I owo wieczorne „jutro“ Bóg wie ile razy się już powtórzyło i Bóg wie, ile razy się jeszcze powtarzać będzie.

Że królewski nasz Hradczyn wart zwiedzenia, stwierdził to słowami wielkiego hołdu i słynny uczony podróżnik, Humboldt.

Edward Jelinek.

KLEET

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

przez

Abrahama Dreyfuss

przekład z francuskiego M. Kostrowickiej.

(Dalszy ciąg).

Scena VI.

Ciż sami.—Klara i Amelia (wychodzą z głębi).

Amelia

Och! przepraszam! Przerywamy zwierzenia?

Henryk

Wcale nie!

Filip

Tak, tak właśnie! (*zwracając się do Henryka*) Dlaczego się zapierasz? (*do Emilii*) Henryk mówił mi o swem szczęściu.

Amelia (*uradowana*)

Doprawdy!

Filip

Przyznaję ci, kuzynko, całą tego zasługę. Utrzymał słusznie, że dobre porozumienie pomiędzy małżonkami zależy jedynie od kobiety.

Henryk

Pozwól.

Klara (*żywo*)

O! to zbyt wielka skromność mężka. Zapewne nikt lepiej ode mnie nie ocenia przymiotów Amelii, ale biezawodnie kuzynka nasza nie byłaby tak szczęśliwą, gdyby mąż jej był człowiekiem niedelikatnym, egoistą, mantyką.

Filip (*szyderczo*)

I okrutnym! Powiedz: i okrutnym!

Klara

Z pewnością: srogim i okrutnym!

Amelia

Ależ, Klaro....

Filip (*do Henryka*)

Pójdźmy, przyjacielu. Zdaje mi się, że gdybyśmy pozostali tutaj pięć minut dłużej, to ten okrutnik byłby rozszarpanym. Pójdź, przyjacielu, pójdź.

Henryk (*idąc za Filipem, do siebie*)

Niema ratunku! (*wychodzą*).

Scena VII.

Klara i Amelia.

Klara (*mocno wzruszona*)

Słyszałaś, kuzynko, co mówił, słyszałaś!

Amelia

Nie trzeba na to zważać....

Klara

Otóż tak jest zawsze! Filip nie pomija żadnej sposobności, aby mnie obrazić. I gdyby to tylko wyśmiewał się z mego sposobu mówienia!... ale on rani mnie ciągle w moich przekonaniach, w moich uczuciach, w tem wszystkim, co mam najdroższego.

Amelia

Kocha cię przecież!

Klara

Nie. Człowiek, który mnie unieszczęśliwia, i nie ma litości nad mem strapieniem, który mi nawet nie pozwala zbliżyć się do siebie, gdy go chce przeprosić za wszystko złe, jakie mi wyrządził, ten człowiek mnie nie kocha. Naprzykład.... Ale gotowaś jeszcze śmiać się ze mnie.

Amelia

Co za myśl!

Klara

W dniu owej sławnej sceny, kiedy-to tak na mnie gderał za tego.... tego.... (*z rozdrażnieniem*) Nie potrafię nigdy wymówić tego szkaradnego wyrazu!

Amelia

Za Klefta?....

Klara (*żywo*)

Tak jest!.... (*powtarza z wysiłkiem*) Kleft! Otóż, czy wiesz, co uczyniłam, rozstawszy się z Filipem? Zaczęłam się uczyć na pamięć tych wierszy, które mi czytał!

Amelia

Czy być może?

Klara

Z mojej strony była to wielka uprzejmość, nieprawdaż?

Amelia

Och! i jaka jeszcze!

Klara

Myslałam, że to odczuję; chciałam mu sprawić niespodziankę. Wtem Filip wchodzi do mego pokoju....

Amelia

To znów była niespodzianka dla ciebie....

Klara

Rzeczywiście. Lampa paliła się jeszcze, chociaż już dzień był zupełny. Filip spostrzegł w moich rękach otwartą książkę. Zarumieniłam się, chciałam wstać.... ale on, spojrzawszy na mnie przenikliwie, rzekł łodowatym głosem: — Jeżeli sądziłaś, że mi sprawiasz przyjemność całonocnem czuwaniem, to się mocno pomyliłaś! — to powiedział, wyszedł.

Amelia

Nie zawołałaś na niego?

Klara

A to po co! W tejsamej chwili uczułam, że i moja miłość oddała się wraz z nim.

Amelia

Jakże ty mnie martwisz!

Klara

A od tego czasu, wiele ucierpiałam upokorzeń i kolców wszelkiego rodzaju! Albo naprzykład dręczy mnie każdego wieczora....

Amelia

W jakim sposób, na Boga!

Klara

Czy mogłabyś uwierzyć: że naumyślnie pije piwo, aby mi dokuczyć!

Amelia

Aby tobie dokuczyć!

Klara

Niezawodnie! Mówiłam mu, że mam wstręt do tego napoju; że to takie ciężkie, odurzające, jednym słowem nieznośne. Ale jemu to wszystko jedno.... Każdego wieczora pije cztery, pięć szklank. — Fi!

Amelia

Źle czyni bez zaprzeczenia;—ale może—przebac mi moję szczerość—może nie umiałaś go opanować?

Klara

Czyżbym mogła! Filip, to charakter nieugięty?

Amelia

Nie masz człowieka nieugiętego dla nas, kobiet. Najstraszniejszy może być poskromionym.... Naprzykład Henryk....

Klara (*uśmiechając się*)

Pan Henryk straszny?

Amelia

Nie wydaje się takim, zgadzam się z tobą — nawet to dobry człowiek, łagodny, usłużny, czuły.

Klara

A więc!....

Amelia (*żywo*)

Ale go też krótko wzięłam! Ach! moja droga, gdybym go była nie trzymała tak dobrze! Nie wyobrazisz sobie, jakie buntownicze instynkta obudzały się w tej łagodnej duszy....

Klara

Doprawdy!

Amelia

Ot, naprzykład, jednego dnia gniewa się, że obiad spóźniony....

Klara (*żywo*)

Jak mój mąż zupełnie! Zegar nasz to wieczny powód do sprzeczki.

Amelia (*opowiadając dalej*)

Gniewa się i....

Klara (*jak wpiervo*)

Filip utrzymuje, że zegar się spóźnia, gdy tymczasem zegar śpieszy się najmniej o dziesięć minut.

Amelia

Tak.... (*zaczyna znów opowiadać*) Henryk więc gniewa się i krzyczy zapamiętałe....

Klara (*jak poprzednio*)

Zegar ja nakręcam.... więc to jest przyczyną!

Amelia (*mówi ciągle*)

Krzyczy zapamiętałe:—Cóż to, czy dziś nie będzie obiadu?

Klara

Jakbym słyszała Filipa!

Amelia

A kucharka spóźniła się rzeczywiście....

Klara

Filip nie ma na to najmniejszej wyrozumiałości.

Amelia (*necierpliwie*)

Ależ ty ciągle mówisz! Pozwól-że mnie opowiedzieć, jak było u nas.

Klara

Ach! przepraszam cię!.... Więc cóż dalej?

Amelia

Więc odpowiedziałam najspokojniej, że rondel

z baranią potrawką przewrócił się w ogień i trzeba było posyłać po inną baraninę.

Klara

A to nie była prawda?

Amelia

Spodziewam się! Południca była na obiad. I Henryk ją zjadł, nie spostrzegłszy się nawet.

Klara (z naciskiem)

O! Filip, on poznałby z pewnością.

Amelia

Daj-że pokój! Dość-by ci było tylko spojrzeć na niego tak.... przekonywająco....

Klara (rumieniąc się)

Ale....

Amelia

Ale ty nie masz odwagi. Pewna jestem, że nie masz odwagi.... Ach! gdybyś ty mnie mogła widzieć z Henrykiem!

Klara

Widzę wistocie, że jesteś bardzo szczęśliwą.

Amelia

A dlaczego? Bo znam usposobienie męża mego i umiem się do niego nagiąć, a raczej jego nagiąć to dobrocią, to wytrwałością—to znów przez okazywanie obojętności.... Wiesz, panowie nie domyślają się nawet, jaką wielką prawdę mówią, gdy nas nazywają władczyniami swemi. Kobieta godna tej nazwy, ma w rękach niezliczoną ilość sposobów i broni: jej rzecz umieć ich używać, a nade wszystko umieć wybrać chwilę do ich użycia.

Klara

Tak.... rozumiem cię; więc szczęście małżeńskie tak, jak ty je pojmujesz, można osiąść tylko za cenę niezliczonej liczby podstępów i kompromisów, mniej lub więcej.... łatwych.

Amelia

Bezwątpienia!

Klara

Ale nie wszyscy posiadają zręczność lub cierpliwość, jakiej wymaga tego rodzaju postępowanie.... Zresztą, czy w ten sposób uniknie się burz powstających za łada drobnostką?

Amelia

Pomiędzy Henrykiem i mną nigdy burzy nie było, a przecież żyjemy już ze sobą lat... (po chwili) lat jedenaście!

Klara

Bo, powtarzam ci, jesteś wyjątkowo zręczną.... albo też dostał ci się w udziale taki los szczęśliwy.

Amelia

Zresztą, w obecnej chwili to rzecz najoczywistsza, że ty, biedaczko, jesteś nieszczęśliwą i że Henryk i ja powinniśmy się starać poprawić pozycję małżeństwa, tak nas zbliżka obchodzącego.

Klara

Nie uda się to wam, niestety!

Amelia

Być może.... ale spróbujmy przynajmniej.

Henryk (głos jego za sceną)

Powiem jej to.... bądź spokojny!

Amelia (żywo)

Mój mąż.... zapewne dobrze gderał na twojego... Zostaw nas samych.

Klara (smutno)

Jak chcesz! (wychodzi).

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Ostatnia wola, komedia w 3 aktach, przez Alex. hr. Fredrę.—Wspólne winy, obraz dramatyczny w 5 odsłonach, osnuty na tle stosunków wiejskich, napisany przez J. K. Galasiewicza; obie sztuki przedstawione w Lipcu r. b., pierwsza w Teatrze Nowym, druga w Teatrze Letnim.

Zazwyczaj śmierć wyświadcza przysługę rzeczywistej, do życia powołanej, sławie: tak jest niezawodnie w świecie nauki, literatury i sztuki. Nikt za życia swego, dla ludzi sobie współczesnych, nie był tak wielkim, jakim jest po śmierci dla potomnych. Z ustąpieniem osoby fizycznej, osoba idealna, człowiek żyjący duchowym swym trudem, nabiera większej wyrazistości i blasku. Śmierć podkreśla rachunki, ustala kształty, ruchliwe piękno osobistości i umysłu ujmuje w spokój i majestat skończoności. Przez śmierć dopiero życie się krystalizuje i przedstawia w całej przezroczystości swojej, bogactwie i harmonii. Małość opada z człowieka; czyny jego i dzieła wstępują w miejsce osoby. Kto wyszedł z życia ze znakiem dodatnim, ten i po śmierci, nawet pod mikroskopem, urośnie w potęgę: drobne a najliczniejsze choćby zmarszczki, plamy i skazy, nie przeważą nigdy tego, co mu przez śmierć do ziemskiej jego nieśmiertelności przybyło. Jeden z najpiękniejszych, a przez nasz sport krytyczny niepoznanych, wierszy Asnyka opiewa właśnie te śmierci przymioty i tę uzupełniającą jej rolę w stosunku do życia. Poeta śpiewa:

Co życie w biegu niszczy i rozprzega,
To śmierć obleka w harmonijną całość—
I nieskalaną daje doskonałość
Mistrzostwo śmierci i śmierci potęgą.

Śmierć Fredry nie ma tego mistrzostwa i tej potęgi: niszczy nadal i rozprzega i wprowadza rozdwojenie między dzieła wcześniejsze, tworzone w społeczności życia literackiego i wystawiane na scenie, a dzieła późniejsze, pisane w rozbracie z krytyką i całą nawet umysłowością współczesną narodu, a zamykane pod kluczem, w szufladzie. Pierwsze utwory pisane były dla społeczeństwa, dla sceny, dla literatury; drugie już tylko dla potomości; ale gdy z pierwszych społeczeństwo, scena i literatura skorzystały, z drugich potomość ma, ze względu na wielkie imię, niewielką pociechę. Komedye pośmiertne nie wzmogły sławy autora; przeciwnie: ómią blask starszych swych siostrzyc: a przeto i śmierć nie wyświadczyła pamięci Fredry takiej przysługi, jaką zwykle umarłym wielkościom naukowym, literackim i artystycznym świadczy.

To, co miało być zbawieniem, stało się dla Fredry, w późniejszej jego epoce, zgubą: oderwanie się od sceny, od życia, schowanie się przed krytyką, zamknięcie się w sobie: wpłynęły malejąco na talent. Z wyjątkiem może *Wielkiego człowieka*, *Dwóch blizn* i *Pana Beneta*, wybitniejszych, Fredry godnych, utworów w tej pośmiertnej spuściznie nie znajdziemy. Mamy silne domniemanie, że gdyby nieboszczyk nie był się gniewał na krytykę i rozwodził ze sceną, to utworami swemi, dziś pośmiertnymi, nie tylko byłby dawniejszym dorównał, ale przez pracę i powtarzanie, przez wprawę i sąd nad sobą mógłby być niejedno dzieło lat młodzieńczych i męzkich zaćmić. Tak mści się zawsze naturalny porządek rzeczy za gwałt mu zadany. Komedia jest *par excellence* dla teatru, teatr dla

publiczności, a wszystko: komedia, teatr i publiczność— dla krytyki. Można wszelkiego innego rodzaju poemata przed wzrokiem ciekawym chować, można rozprawami uczonemi szuflady i półki załudniać, można kwiaty dowcipu literackiego zasuszać w zielnikach, oprawionych w pogardę dla świata i jego krytyki: to, co w komedii żyć ma, musi po narodzeniu się swem, zaraz na świat wychodzić, na świecie żyć, jego powietrzem oddychać, z jego światła korzystać, jego niesprawiedliwość nawet cierpieć. Komedia, będąc satyrą życia współczesnego, tylko na niwie współczesności wyrosnąć może.

Ostatnia wola, napisana w 1867 r., nie jest poważną komedią, ale raczej łamigłówką, w której autor chciał pokazać widzom, jak się przedstawiają jedne i te same postaci w trzech odmiennych, mechanicznie, za naciśnięciem sprężyny, wyskakujących sytuacjach. *Ostatnia wola* generała Zielskiego jest najpierw pomysłem dla pana Serafina, potem dla pani Zielskiej wdowy, wreszcie dla panny Pauliny; a w miarę wysuwania się tych sytuacji i stosownie do nich, kształtuje się i dramatyczność sztuki. Lekkomysłność starej turkawki-wdowy, wzdychającej jeszcze do młodego serca; świętoszkowstwo i chciwość Serafina; prawosć rubaszna Stanisława Zielskiego; młodzieńczość poręcznika Dorskiego: podporządkowane są jako motywa artystyczne i satyryczne, pod owe trzy, jeden po drugim spadające, testamenta i autor żadnego charakteru nie rozwinął tak, aby on mógł żyć własnym swem prawem i sam przez siebie coś znać. Jedną tylko pani Zielską, choć wiele ma w sobie komunalów, trzyma się na nogach bez sztucznych podpórek i ona jedna na uwagę tu zasługuje. Wszystko tylko zarysowane; nie ma silnych rębów swoich, a w ich granicach prawdziwego, zwewnątrz idącego, życia. Dramatyczność nieżyjąca z samych charakterów, musi się zawsze ratować jałmużną u obcych jej sztuczek, naciągów i wykrętów. Zkądżeż się mają brać wola i ząd jej starcie czyli dramatyczność—gdy niema charakterów?

Nazwisko p. Galasiewicza znane jest dobrze od czasów *Czartowskiej Ławy*, która parę lat temu wiele robiła hałasu. Tamta sztuka była z zamiaru swego prawdziwie ludową, nauczającą i do działania na lud przeznaczoną, trzymaną na wysokości jego pojęć, wierzeń i obyczajów. Nowy obraz p. Galasiewicza wykacza z obrębów dawnego; przedmiotem jego jest jeszcze lud, ale ukazany już nie z tej strony, jak w *Czartowskiej ławie*, ukazany w sposób, który sztukę tę przeznacza raczej dla klas wyższych niż dla ludu. Widać tu więcej myślenia w tworzeniu, poważniejszy, głębszy zamiar, więcej środków artystycznych, lepsze charaktery, wyższość w stylu i samym materiale budowy. Dość powiedzieć: *Wspólne winy*—winy na tle stosunków wiejskich—aby już nie wskazywać palcem chaty i dworu. Chata i dwór występują tu w nieszczęsnej przeciwstawności swojej, z której rodzi się waśń społeczna i niemoc, na której tuczy się ciemnota, a dobre interesa robią wszystkie wrogi społeczeństwu potęgi. Interessa chaty przedstawiają w sztuce: zamożny gospodarz Łukasz Skala i pyszałek wójt Onufry Wiechetek; interesa dworu streszczają się w wątlej postaci Adama Tarskiego i jego córki Jadwigi oraz ekonomy Batowskiego. Pomiędzy obu stronami, niby potok rozdzielający dwie skłóconych braci dziedziny, stoją dwaj synowie Skali: inżynier Stanisław i wieśniak Antoni, oraz intrygant Lisik. Tłumy gospodarzy wiejskich, prowadzone nie przez Skalę, ale przez głupiego Onufrego i mądrego Lisika, falują w scenie, dając z siebie pyszne obrazki rodzajowe, obok tragicznie zarysowanego stosunku Skali z Tarskim. Za sceną działają kultertregerzy, wykupując ziemię i jej bogactwa z rąk mściwego Łukasza. Kultertregerstwo jest bardzo silnym działaczem w sztuce: całe jej rozwiązanie, tylko dzięki oburzeniu ludu na Niemców, mogłoby być takim, jakim je widzimy — jest zaś ono dla idei zgodnego pożycia pomysłem. Gromada, oddzielająca dwór od osoby, staje po stronie Tarskiego, w chwili, gdy go Łukasz przez zemstę majątkowo zruinował; pocziwcy, oburzeni na zaprzękanie ziem Niemcom, rzucają się na Skalę, którego pogębiony przezeń Tarski ocala, a ten czyn po wielu

watpliwościach obudza nareszcie skrucę w zawziętej duszy. Kończy się wszystko przebaczeniem, nadzieją wypędzenia Niemców i małżeństwem panienki ze dworu z inżynierem-chłopem. W ustosunkowaniu młodszych pokoleń p. Galasiewicz podejmuje temat rzucony przez Kraszewskiego w *Ostapie i Ładowej pieczarze*.

Widzimy z tego składu i ruchu osób w dramacie p. Galasiewicza, że dwa jego działacze, których winy mają być wspólne, lud i dwór, są idealnej natury, a osoby występujące jako żywe służą im tylko za przedstawicieli. Dramat przez to jest również ideowym, jak ideowym musi być wszelki utwór na stosunkach społecznych osnuty i stosunki te przed oczyma widza usiłujący plastycznie wyobrazić. W każdym takim utworze głównych osób potrzeba szukać poza nim: w świecie pojęć, który nie jest światem sztuki, lecz tylko z nim graniczy i pozwala mu w siebie wnikać. Ani lud, ani dwór, ani ta lub owa warstwa społeczna, w bezpośrednioci swej i zosobieniu w sztuce wystąpić nie mogą, dla tej prostej przyczyny, że w życiu osobami wydzielającymi się z całości istnienia nie są, jeno pojęciami umysłu naszego, które idealnie uosabiać możemy, ale nie zdołamy im nigdy dać żywej, potężnej, jednolitej duszy. Pojęcie takie będzie tylko podścieliskiem dla indywidualności, dla charakteru: sam charakter z innych, ogólnie ludzkich, od klasyfikacji społecznej niezależnych, żywiołów utworzyć się musi. Miliony osobników w życiu składają się na pojęcia „ludu“ i „dworu“: wymagać od dramaturga, aby je w życiowej ich dokładności przedstawił, nie podobna, skoro najsumienniejsza nawet i najbystrzejsza obserwacja społeczna stawia tylko domniemanie, zgaduje i trafia, nie mogąc stanąć na pewnym, niezawodnym gruncie naukowego poznania i naukowych przekonań. Ogólne jedynie rysy pochwycić się dają: kto je pochwycił, ten wygrał, ale dzieło jego nie ma przez to jeszcze prawa uchodzić za ogólne, syntetyczny obraz całości, w jeden punkt zebranej. Autor *Wspólnych win* wiele rysów z życia ludu zdjął na soczewkę swego umysłu; w dwóch pierwszych aktach dał nam wybitne sceny rodzajowe, stosunek dworu do ludu wyraził w pysze wzajemnej i przesadzie, w lekkomyślności jednej a chciwości i łatwowierności drugiej strony, w ciemności ludu i w nielepszym od niej, zaślepionym rozumie dworu; wreszcie wprowadził czynniki przemocy, krzywdy i zemsty, które w poezji ukraińskiej, zaczawszy od *Zamku Kaniowskiego*, tak wielką a przez życie usprawiedliwioną, grają rolę: czy jednak możemy powiedzieć, że w sztuce jego widzimy rzeczywiście lud i dwór? Nie. Widzimy tylko cząstkę jednego i drugiego, przypadek zawsze indywidualny i niedający się uogólnić przeniewierzający się zarówno życiu, jakiem ono jest w syntezie swej prawdy, jak i rozumowi, który „lud“ i „dwór“ jako pojęcia z życia wyprowadza.

Prawdziwość artystycznego obrazu, wytworzonego z kształtów i barw rzeczywistości, stałaby wyżej, gdyby pan Galasiewicz, zamiast pozwalać Skale na skupienie weksli Tarskiego, dał mu być inny środek w rękę do zniszczenia znienawidzonego pana. Sposób, w jaki zamożny właściciel bierze pomstę nad dworem, który go przed trzydziestu laty był skrzywdził, jest tak indywidualny, że żadną miarą nie mógł się do niego uciec lud, któremu przecież Skala tylko za przedstawiciela ma służyć. Sprzedawanie ziemi, z kopalniami czy bez nich, Niemcom nie stanowi w położeniu danem żadnej konieczności, a choć pozwala nadać ludowi piękny bardzo rys oburzenia i przeciwstawiania się wrogowi żywiołowi, wątpliwy przecież, czy na tem i prawda życia i rozum sztuki wygrywa. Jakby autor rozwiązał dramat, gdyby nie był wprowadził Niemców? Bez nich nie poszło-by mu tak gładko. Ci Niemcy jednak, prawda, wybawili go z kłopotu, ale nie podnieśli jego zasługi. Czyż miłość Zdzisława dla Jadwigi nie dawała dość szerokiego wyjścia autorowi, że się jeszcze i kopalnią ową i Niemcami ratować potrzebował?

Błędem największym sztuki jest zupełne odrąbanie Skali od ludu wtedy, kiedy Skala rzeczywiście dźwiga na sobie cały ciężar antitezy psychologicznej i całą dramatyczność, i ma być tylko interesów ludu i jego namiętności przedstawicie-

lem. Przez takie oddzielenie, przy silnem zarysowaniu postaci, o którą nam tu idzie, do dwóch głównych, właściwie jedynych, osobistości sztuki: ludu i dworu, przyłącza się jeszcze trzecia: już nie pojęcie, nie żadna idealna tylko istota, ale człowiek żywy, osobnik, naturą swoją różniący się zasadniczo od owych osób, jedynie tylko pojęciowych, a na jednym z niemi stający poziomie; narusza ona harmonię, zaciera naczelną myśl i wywraca stosunek w sztuce jedynie prawowity, z samego założenia jej wypływający. Skala jest najtępszą, najsilniejszą postacią w całym dramacie i można go autorowi *Czartowskiej ławy* powinszować; ale Skala, odrąbany od ludu, przez tę właśnie tęgość swoją podkopuje budowę dramatu. Jego siła, jego wybitność staje się jeszcze szkodliwszą, przez niemoc i wątpliwość jego przeciwnika. Tarski, z początku zbyt czarny, jest później zbyt białym. Może okrucieństwo przemienić się w słodycz, ale potrzebuje się *przemienić*; u p. Galasiewicza jedno po drugim *następuje*. Taki, Tarski nie mógłby chyba żyć, gdybyśmy go na świat wyprowadzili: umarłby od razu na powietrzu rzeczywistości. Również i Stanisław znika zupełnie przed ojcem: bardzo to piękne, że mu do kolan się ściele, że go jako ojca cześci, choć był w Paryżu i nad chatę i komin ojcowski duchem się wzbił; ale czy to dobrze, że jest zupełnie niczem przed rodzicem swoim? Czy prawem i obowiązkiem, potrzebą jego najpierwszą nie było zdobycie ojca dla jasnej jak słońce prawdy, że drabina życia jest od tego, aby się po niej coraz wyżej wznoszono; że pokolenia nowe powinny stać wyżej od dawnych; że prawdziwa miłość rodzicielska cieszyć się będzie zawsze z wyniesienia syna na stanowisko, którego wyższości zaprzeczyć nie zdoła żaden człowiek ze zdrowym rozsądkiem? Daleko lepszą od Stanisława jest Jadwiga. Nasza krytyka uważa ją za naiwną gąskę: czyż tylko gąski szczerze kochają, nie licząc się z konwenansem? Czy ta gąska przebrała miarę w osmieleniu Stanisława, czy, opiekując się ludem, niosąc mu pomoc, była tylko gąską i niczem więcej?

Doskonale malowany jest wójt Wiechetek po stronie ludu, ekonom Batowski po stronie dworu; w wójtce, mamy większe już malowidło, więcej zajmujące miejsca, ale i Batowski ze swoim „Cóż, kiedy już bić nie wolno!“ jest postacią typową. Wdzięczne dopełnienie osób należących do dworu, stanowi gospodyni Nastka, przywiązana do panienki, ruchliwa i energiczna i czynami przywiązanie swe okazująca.

Wręcz niesprawiedliwym nam się wydaje zarzut deklamacyjności, który sztuce p. Galasiewicza uczyniono. Czytelnika znającego sztukę o niesprawiedliwości tej przekonywać nie potrzebujemy.

Ostatecznie, *Wspólne winy*, pomimo błędów swoich—a nie nas przy wytykaniu ich tutaj nie krępowało—są utworem zasługującym na uwagę, godnym poznania, świadczącym już o wybitnej zdolności pisania dla sceny. Od czasów *Czartowskiej ławy* widać postęp wielki; radziłyśmy znowu za lat parę podobnyż postęp od obecnej do nowej sztuki stwierdzić. Nie święci garnki lepią. Przy pracy i silnej władzy nad sobą, przy ciągłym niezadowoleniu z siebie, z tego, co się tworzy i jak tworzy, przy usilności robienia wszystkiego jak najlepiej—może się w p. Galasiewiczu wytworzyć rzeczywisty talent w danym rodzaju dramaturgii. Sztuka dramatyczna jest przed innemi tą, do której stosuje się maxyma: *Ars longa, vita brevis*. Chcąc pisać dramata, nie można, jak ptak, siedzieć na gałęzi i śpiewać: tak śpiewają tylko lirycy, szczerzy uczuciowi lirycy: dramaturg cięższe ma dla siebie warunki, zadanie nieskończone wyższe, drogę tysiącami zasiekami najeżoną. Dramaturgiem nie będzie, kto nie jest psychologiem, dostrzegaczem i mędrcem, rozumnym umysłem i duszą artystyczną. Dramaturg musi być najpierw architektem, musi potem rzeźbić i malować; powinien być zdolnym i do liryzmu i do bohaterstwa; powinien mieć poryw do ideału, a ciążenie do rzeczywistości. Ostatecznie, powołany do wytwarzania dusz ludzkich i ich życia, dramaturg przez powołanie to ma coś bożego w sobie.

Wystawienie obu dramatów było staranne. W ostatniej woli p. Waliszewski przypominał sa-

mego siebie ze sztuk innych, w których, równie jak w tej, gra rolę hypokryty i świętoszka. Pani Borkowska w obu sztukach złożyła dowód, że role charakterystyczne starsze znajdować w niej będą dobrego tłumacza. Wdowa Zielska lepszą była od Nastki. We *Wspólnych winach* sam p. Galasiewicz grał Skalę, trochę zaszywno i zazimno. P. Ostrowskiemu wprawa dopomoże do zupełnie zadawalającego odtwarzania na scenie takich postaci, jak Wiechetek. Państwo Ładnowscy byli ojcem i córką Tarskimi; ona, nadspodziewanie ożywiona, on jeszcze sztywniejszy i oziębniejszy niż zwykle. Przy wdzięku postaci, przy piękności twarzy artystki, Jadwiga wcale powabnie zarysowywała się w sztuce; zato p. Ładnowski do reszty Tarskiego zepsuł, rozwodnił—rozślimaczył. Pan Tatarkiewicz podjął się roli Stanisława, a skutkiem nieokreśloności tej postaci zadanie miało trudne. Z uznaniem wreszcie wspominamy o p. Grzywińskim, który był wyborym Batowskim.

S. K.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Lipcu 1882 r.

Obchód doroczny 14 Lipca. — Muncypalność w kłopotach. — Wybuch gazu i liczne ofiary. — Popularność i jej nietrwałość. — P. Grévy i stronnictwa skrajne. — Nowa książka p. Olliviera. — „Czy papież jest wolnym w Rzymie? — Legenda o kościełku: „Domine, quo vadis?“. — Ks. Lubomirski i jego „Jeruzalem“. — Dlaczego Józef zrodził niedowiarka? — Nicolardot i jego zwierzenia o Sainte Beuve'ie. — „Literatura kominiarska“. — Oszczerstwo literackie i polityczne we Francji, i jego eksploatacja dzisiejsza. — Ebersa „Egipt“, tłumaczenie p. Maspero. — Jak się sprzedają dobre książki? — Myśli Królowej Rumuńskiej i broszura Króla Bawarskiego. — Fr. Coppée'go: „Contes en prose“ i nowe wydanie wszystkich pism Alf. Daudet'a.

W chwili, kiedy to piszę, wielkie przygotowania do obchodu 14 Lipca, są prawie na ukończeniu, powiadam prawie, bo to rzecz niemała, urządzić, w niedokończonym ratuszu, w domu bez drzwi, okien i wschodów, ogromny festyn inauguracyjny. Dziwna myśl; wprowadzać gości do ledwie pokrytego dachem pałacu! Dziwniejsza jeszcze, wyrzucić blisko milion franków na urządzenie tymczasowe, mające dać uciechę przez kilka godzin, kiedy muncypalność posiada pod ręką tyle gmachów i sal w Paryżu, w których-by ten wielki bankiet mógł być wydanym za dziesiątą część summy wyrzuconej za okno! Ale szanowni członkowie dzisiejszej rady muncypalnej tak są niepewni jutra, tak mało wierzą w przyszłe wybory, że powiedzieli sobie *beatus qui tenet*. A więc inaugurujemy, bankietujemy, kto wie czyje jest jutro?...

Był jeszcze inny powód do zbytku. Muncypalność chce otrzymać koniecznie swego *centralnego prezydenta Paryża* (mera) jak go nazywają tutaj. Dotąd jest 20 okręgów miasta, każdy z nich ma swego mera i swoją radę muncypalną. Oprócz tego jest główna centralna rada muncypalna Paryża, z prezydentem i vice-prezydentami i t. d. na czele. A nad tem wszystkim stoi prefekt Sekwany, naczelný administrator, zarazem prezydent miasta i prezydent departamentu. Myślano zatem, że była to doskonała sposobność, wyrazić to żądanie hucznie, świetnie, na bankiecie *coram populo* uczynić nacisk na prezydenta Rzpłtej i na ministrów, podając to żądanie jako ogólne i powszechne życzenie narodu.

Ten zamiar jednak nie przyszedł do skutku, bo z mowy prezesa rady muncypalnej, zakomunikowanej poprzednio prezydentowi Rzpłtej, odezwa o merze centralnym wykreślona została, i bankiet pozostaje prostym bankietem inauguracji ratusza, którego ukończenie dopełni się nieprędzej, aż dopiero za rok albo za półtora od dzisiaj; tymczasem niemało wody upłynie w Sekwanie.

Otwarcie domu muncypalnego i uroczystość 14 Lipca poprzedził smutny bardzo wypadek: wybuch gazu w sąsiedztwie właśnie odbudowanego gmachu. Dotąd przyczyna tej katastrofy niewiadoma, wybuch pierwszy miał miejsce w dzień około godziny siódmej zrana, w sklepie jakiegoś ze-

garmistrza, drugi około godziny dziesiątej w kawiarni narożnej, a trzeci, наконец, w drugiej sąsiedniej kawiarni około południa. Pokaleczonych i rannych jest więcej niż trzydzieści osób, zabitych lub zmarłych z ran ciężkich — 5 osób. Ranni są po większej części ludzie, których ściana w to miejsce ciekawość. Za czasów Napoleona III odwołanoby ucztę, zawieszono obchód, a dziś wcale to nie zakłóci powszechnej radości i bankiet swoją drogą odbędzie się całkiem według programmatu!

Dzienniki przypominały prezydentowi Rzpltej, że w 1849 r. zaproponował on zniesienie godności prezydenta i podsuwały myśl, że całe jego postępowanie dzisiejsze zdaje się dążyć do wskrzeszenia tego zamiaru. Przypomina to nam sławną sprawę Biskupa Chełmskiego na sejmie 1689 r. kiedy ten prałat (Kazimierz Opaliński), niezadowolony; odezwał się do Jana III: „Albo przestań panować, albo sprawiedliwie panuj!“ P. Grévy wszakże dotąd na wszystko przystawał, na wszystko pozwalał; ale dosyć, aby się w czemkolwiek sprzeciwił, a zaraz krzyżać: fora ze dwora! I powiadają, niby żartując, że można tego grać w bilard, a być słabym prezydentem Rzpltej.

Zapewne, można być nawet znakomitym pisarzem a nie do rzeczy ministrem. Oto mamy tego przykład w doskonale napisanej książce pod tytułem: „Czy papież jest wolny w Rzymie?“ (*Le Pape est-il libre à Rome*).

Któż nie pamięta owego ministra Napoleona III, człowieka, jak go przeważali Francuzi, o lekkim sercu, schwytanego za słowo wyrzeczone w owej sławnej mowie, w której radził wydanie wojny Prusakom w 1870 r.? Otoż jeżeli Emil Ollivier źle poprowadził interessa państwa, trzeba mu przyznać, że posiada znakomity talent pisarski i dał tego nowy dowód w książce, o której mowa.

Może kombinacje polityczne, które nasuwa w tej książce, może nawet jego przewidywania na przyszłość, zostawiają wiele do życzenia; ale samo wniesienie, że tak powiem, sprawy papieża i papieżstwa, obraz dzisiejszego położenia Kościoła Katolickiego w Rzymie odznaczają się wybornym ujęciem i oddaniem i nie do życzenia nie zostawiają. Książka konkluduje, jak musiałby zakonkludować każdy, kto ma rozum i należne uczucie obowiązku: „Papież nie może opuścić Rzymu; powinien pozostać na swej placówce, nieszukając pojednania się, któreby poniżyły tylko godność jego, i któregoby zresztą nieprzyjęto“.

Książka p. Olliviera, oprócz swych zalet argumentacyjnych posiada jeszcze stronę artystyczną. Niejestto suchy i cierpki rozbiór zawitych kwestyj jedynie; są tam zwroty i spojrzenia na to, co nas otacza, i na daleki horyzont przyszłości. Umie autor korzystać ze wszystkich pomników, wspomnień i tradycji, które go otaczają w Rzymie. Z powodu tego, co powiada, iż papież nie może i nie powinien opuszczać Rzymu, p. Ollivier przytacza poruszającą legendę o kościółku pod wezwaniem *Domine, quo vadis?*

Jeżeli, powiada, pod wieczór, kiedy słońce, chyląc się ku zachodowi, rzuca na rozległe równiny, otaczające starą stolicę świata, cień olbrzymich gmachów, wpół rozwalonych wodociągów, i zdaje się smagać wiązką promieni jasnych, to, co pozostało jeszcze z kostnicy minionych wieków, — któż z odwiedzających Rzym nie szedł w ową godzinę spokoju błędzić samotnie na tym wielkim szlaku zdobywców, który się zwał ongi *Via Appia* i popatrzyć ze smutkiem na resztki grobowców, które wspaniałym, podwójnym rzędem cisnęły się niegdyś po obu stronach drogi?

Ale wyszedłszy za miasto, i zanim się stanie na tej wyniosłości, z której oko może objąć cały obszar stolicy świata, któż się nie zatrzymał na chwilę przy tym skromnym, zawsze prawie samotnym, kościółku, który się wznosi naprzeciw okrągłej baszty grobowca Priscilli, pod wezwaniem: *Domine, quo vadis?* Legenda, która tłómaczy te sło-

wa łacińskie, jest poruszającą i pełną nauki. W czasach prześladowania pierwszych Chrześcijan, święty Piotr, dowiedziawszy się że był poszukiwanym przez policję cesarską, wymknął się z Rzymu przez Bramę Kapieńską (Capena). Doszedłszy do miejsca, na którem wznosi się ów kościółek, spostrzegł nagle przed sobą Jezusa niosącego swój krzyż. *Domine, quo vadis?* woła zdziwiony Piotr (Panie dokąd idziesz?) *Venio Romam iterum crucifigi* (Idę do Rzymu, aby być powtórnie ukrzyżowanym) — odpowie mu Jezus, poczem znika, zostawiając na kamieniu odcisk stóp swoich. Święty Piotr zrozumiał i wrócił zaraz do Rzymu.

Owoż papież, któryby opuścił stolicę swoją, bez koniecznej a nieodbitnej potrzeby, widziałby wznoszący się przed sobą jak wyrzut sumienia, małeńki kościółek „Domine quo vadis?“ i kto wie, czy w nocy bezsennej nie ujrzałby, jak Piotr Chrystusa Pana, wołającego doń: „Idę do Rzymu, aby mnie znowu ukrzyżowano na miejsce wikaryusza mego, który opuścił stolicę swoją!“

Dziwne są drogi Boże i dziwną jest ta, która dawniejszego pierwszego ministra zaprowadziła do stóp Piotrowych. Kto może zgłębić, co się dzieje w duszy tego człowieka, któremu powierzono były chwilowo losy jego ojczyzny i rozmyślnie czy nieświadomie popchniętej przez niego w przepaść? Kto wie czy i on nie spotkał na swej drodze bolesnej niewiasty, która mu objawiła również, że idzie, aby ją umęczono powtórnie? Cokolwiek bądź, w tej książce dawniejszego ministra Cesarstwa, czuć na każdej karcie jakby głos tajemniczy z głębi, który własne swe krzywdy i żale wypowiada pod tą poważną zasłoną obrony apostolskiej stolicy. Czuje on widocznie, ile to ogniwo Kościoła stanowi, w łańcuchu, w którym się wiąże sprawy ludzkie na ziemi, i oile jego zerwanie może zagrażać wszystkiemu, co na tej ziemi opiera się na prawdzie, na uczuciu i na najświętszych obowiązkach jednostek i zbiorowo.

Odwrotną stronę tego medalu znajdziemy w książce ks. J. Lubomirskiego, pod tytułem: *Jeruzalem, albo niedowiarek w Ziemi Świętej*. Ta zbieranina oklepanych i pustych rzeczy, napisana stylem, który jest własnością wyłączną tego pisarza — zniknie w powodzi złych i głupich książek, które tu secinami idą pod folusz, nie zostawiając żadnej po sobie pamięci. Dla obcych więc nie ma to żadnego znaczenia, dla nas nabiera pewnej wagi z powodu nazwiska autora. Zdaje mi się, że o książce tej mówiono już wam zkądinąd; nie będę więc was zaprzętał rozbiorem tego, co nie zasługuje wcale na ten zaszczyt. Powiem raczej: jaka jest genesis tej książki? Jak wam wiadomo, „Son Altesse Sérénissime“, bo autor taki bierze tytuł w oficjalnych dokumentach, gołym będąc jak turecki święty, zrobił doskonały użytek ze swej podziurawionej mitry: uwieńczył nią skronie paryskiej mieszczanki, której się zdało, że może jej być z tą mitrą do twarzy.

Mieszczanka była wdowa po jakimś Boyerze, aptekarzu czy materyaliście, ale nie filozofie, tylko francuzkim *droguiste*, który odnalazł był niby sekret sławnej karmelitańskiej wody, *specificum probatum*, przeciw wszelkim chorobom i dolegliwościom. Woda ta, a raczej wódka, jestto bowiem bardzo mocny wyskok spirytusu, zaprawny rozmaitemi ingredyencyami, zapomocą, niezmierniej reklamy aptekarza stała się też rozpowszechnioną niezmiernie, i była źródłem dość znacznej fortuny, której się za jej pomocą dorobił cny p. Boyer; a chociaż wdowa przywdziała książęcą mitrę, dom i stara firma Boyera egzystują tu zawsze i handel idzie swoją drogą.

Nie znam wcale księżny, ale wiem, że z wyjątkiem owej słabostki do mitry jestto pocziwa i zająca kobieta. Powiedziałem, że miała słabostkę do mitry, bo nie można przypuścić, aby powierchowność i przymioty „de Son Altesse Sérénissime“, mogły mieć choćby najmniejszy wpływ na jej

serce. Książę pan ma twarz pospolitą, a nawet kałmukową, poniekąd, — napiętowaną wyrazem bezwstydnego zarozumiałości, która jest gruntem tego człowieka.

Pani Boyer'owa jako zamożna mieszczka, miała piękną willę w Trouville. Książę polubił ten pobyt nad morzem i w miejscu gdzie wszystko się zbiega aby uprzyjemnić sobie życie: żył więc i bawił się tak dobrze, że jednego pięknego poranku żona się dowiedziała, iż książę pan, narobiwszy długów, zahypotekował je solennie na swej willi w Trouville. Księżna przypomniała sobie, że była kupcową przed wzięciem mitry, rzecz rozebrała na zimno, a widząc, że willa w Trouville — mniej miała dla niej wartości niżli gotówka, interes ten zlikwidowała szybko, sprzedała willę, zapłaciła długi, ale zarazem wyznaczyła księciu panu strawne, z urzędem zastrzeżeniem, że na przyszość słyszeć nie chce o żadnych długach „de Son Altesse“.

Jak pani Boyer'owa przypomniała sobie w stanowczej chwili, że była kupcową, tak książę przypomniał sobie, że ma pióro w ręku. Mówiłem że księżna jest zającą niewiastą; jest ona jeszcze przytem nabożną: książę więc, oddając ząb za ząb, sięgnął do kałamarza, napisał *Jeruzalem* i przechrzczył się na niedowiarka. Tosamo już pokazuje co warta jest książka.

Są ludzie, dla których atrament jest smarowidłem *sui generis*, muszą nim koniecznie obryzgać wszystko, cokolwiek nad ich poziom się wzbija. Jeden z najsubtelniejszych krytyków francuzkich i pisarz niezrównanych zalet stylu, p. Sainte-Beuve był właśnie jednym z tych ludzi, którym za życia i po śmierci, nieszczędnemu smarowidła, Kilka lat temu wyszła książeczka pod tytułem *Milostki Sainte Beuve'a* (*Les amours de Sainte-Beuve*). Autorem był pisarzyna, którego Sainte Beuve przypuścił do siebie, chcąc mu być użytecznym. Książka jest tego rodzaju utworem, że, uczciwszy uszy moich czytelników, uważam ją za taki paszkwil, iż się go nam nawet roztrząsać nie godzi.

Dziś niejaki p. Ludwik Nicolardot, który sam powiada na początku książki, że Sainte Beuve używał go czas pewien jako sekretarza, opowiada nam z cynizmem, który w takim stopniu i tutaj nawet jest wyjątkową rzeczą — opowiada nam o Sainte Beuve'ie, jako o pewnym rodzaju, w moralnem i fizycznym znaczeniu tego wyrazu, niedołęgi, którego on, Nicolardot, musiał prowadzić i swoją intelligencyą podrzymywał. — „Nie ukrywał się on przedemną bynajmniej, — powiada dalej ten przedpokojowy biograf, — umiałem zyskać jego zaufanie!“ To też mu płaci dzisiaj sowicie. Niema wady, słabości, niema takiego liszaja i brodawki, którejby on nie dopatrywał i nie opisał nam z pewnem zamiłowaniem oszczerstwa, posuniętego aż do artyzmu. I o tej książce nie można powiedzieć wszystkiego, bo biedny, schorzały, skurczony, ledwo żywy Sainte-Beuve w ręku tych prałatów staje się pewnym rodzajem ogłupiałego rozpustnika: pisarzem bez talentu, człowiekiem bez żadnej wartości. Gdybyśmy mogli uwierzyć p. Nicolardot, każdy czytelnik S-te Beuve'a byłby tylko ofiarą szalbierstwa, jakiego się wrzekomo dopuszczał na nim libertyn pisać nawet nieumiejący. Ale i czytelnik p. Nicolardot zdumiony pyta się nakoniec: jaki może być cel jego własnej książki? Cel? jest najpierw obrachowany zysk podług ważności skandalu, rzecz zdarzająca się tu codziennie prawie. Smutno powiedzieć, ale są ludzie, a co więcej, pisarze, którzy wzięli sobie skandal za specjalność. Dzienników, które tem żyją, nie przeliczysz, a ich zawsze ku temu otwarte szpalty ułatwiły niezmiernie przedsiębiorstwo tego rodzaju pisarzom żyjącym tylko cudzą krzywdą.

(Dokończenie nastąpi)

TREŚĆ. Kilka wspomnień o Szopenie z mojej młodości, przez Wielisława. — Bezwiedna miłość, Nowella, (dalszy ciąg), przez Stan. Korczak. — Echa z Czech, przez Edwarda Jelinka. — Klef, komedia, (dalszy ciąg), przez Dreyfuss'a. — Przegląd teatralny, przez S. K. — Nowiny paryżkie.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою
Варшава, 27 Юля 1882 года.